Rok X. Luty 1904. Nr. 2.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY POLITYCE NARODOWEJ

ORAZ ZAGADNIENIOM ŻYCIA SPOŁECZNEGO, EKONOMICZNEGO I UMYSŁOWEGO.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Jabłonowskich, 9.

WOBEC WOJNY.

Jakkolwiek oddawna przewidywana, wojna rosyjsko-japońska wybuchła tak nagle w trakcie przewlekanych przez rząd petersburski rokowań, że pierwsze wiadomości z dalekiego pola walki zjawiły się całkiem niespodzianie. Nie spodziewano się ani tak nagłego zerwania stosunków dyplomatycznych, ani tak szybkiego ze strony japońskiej natarcia, ani tak świetnego sukcesu, który wyspiarzom wschodnio-azyatyckim dał odrazu przewagę na morzu. Okazało się, że Japonia znakomicie jest do wojny przygotowana, że posiada doskonały jej plan, że plan ten wykonywany jest z nadzwyczajną dokładnością i nieznaną prawie w dotychczasowych wojnach szybkością. Strona przeciwna ani nie jest przygotowana, ani nie robi wrażenia, jakoby miała wyraźny plan kampanii.

Pierwsze wiadomości o atakach floty i o szybkiem lądowaniu armii japońskiej na Korei oraz dające się z nich wysnuć wnioski o siłach obu stron wojujących, wywarły potężne w całym świecie wrażenie. Łatwo zrozumieć, iż ogół nasz został poruszony niemi najsilniej. Jeżeli nie wszyscy u nas uświadamiają sobie dokładnie, to prawie wszyscy instynktownie odczuwają, że niepomyślna wojna Rosyi z kimkolwiek, chociażby z tak odległym od naszego kraju wrogiem, musi się korzystnie odbić na naszych losach. Po nad wszelką wątpliwość jest to widoczne, że ogół nasz ma głębokie poczucie donioslości tej chwili dziejowej.

Wojna na Dalekim Wschodzie jest dla naszego narodu sposobnością do zdania egzaminu z postępu myśli politycznej, jaki się u nas ostatnimi laty odbył. Przed paru dziesiątkami lat może pobudziłaby nas ona do działań odruchowych, pod wpływem pierwszego wrażenia, bez sumiennego zważenia wszyst-

kich warunków, od których nasze losy zależą lub mogą zależeć. Przed kilku jeszcze laty zachowalibyśmy się całkiem biernie, zdając się w zupełności na falę wypadków, w poczuciu, że nie jesteśmy zdolni do tego, ażeby zaważyć na biegu jakichkolwiek spraw szerszego znaczenia. Dziś rozumiemy, że ani jedna, ani druga rola nam nie przystoi, że mamy obowiązek bacznie śledzić rozwój wypadków, by skorzystać z nich, gdy na nas czas przyjdzie. Z prawdziwą radością, na podstawie dokładnych informacyj stwierdzamy, że opinia ogółu naszego w Królestwie skłania się wyraźnie do zajęcia takiego właśnie stanowiska. Bierze ona moralnie czynny udział w tej wojnie, a rozumiejąc, że niema dziś mowy o warunkach do jakichkolwiek wystąpień nazewnątrz, przewiduje jasno, że spowodowany wojną rozwój wypadków w samej Rosyi może nas powołać do wypowiedzenia swego słowa. Po raz pierwszy też znaleźliśmy się w Królestwie w tem położeniu, że wypadki polityczne głęboko poruszyły nietylko inteligentny ogół, ale i masy ludowe: wśród włościan całego niemal kraju widać nietylko silne poruszenie wojną i poczucie, że ma ona dla nas wielkie znaczenie, ale bardzo często także wcale jasną świadomość kierunku, w którym możemy z klęski rosyjskiej oczekiwać dla siebie korzyści. I dziś już mamy pewność tego, że jeżeli blizka przyszłość powoła nas w zaborze rosyjskim do jakiejkolwiek szerszej akcyi politycznej, nie będzie to akcya zawieszona w powietrzu, polegająca na zabiegach garstki ludzi, ale akcya narodowa, oparta o szerokie masy ludowe i stąd czerpiąca swą siłę.

Gdy zewnętrzne okoliczności zaczynają się dla narodu pomyślnie składać, tem więcej ma on widoków wyciągnięcia z nich korzyści, im większa panuje w nim zgodność dążeń. Ponieważ całkowita jednomyślność jest niemożliwa do osiągnięcia, trzeba się starać przynajmniej o tak silną przewagę kierunku, uznanego za odpowiadający interesom narodu, ażeby przeciwne dążenia nie zdołały go sparaliżować, a przynajmniej osłabić, żeby nie były w stanie naruszyć jedności narodowej polityki nazewnątrz. Dziś ważniejsze jest niż kiedykolwiek, ażeby ster opinii znajdował się w silnych i w pewnych rękach, kierowanych przez rozum polityczny i sumienie obywatelskie, poczuwające się do odpowiedzialności za każdy krok, za każde wypowiedziane słowo. Nie można tu się zdać na pierwszego lepszego, luzem idącego dziennikarza, ulegającego zmiennym wpływom

i lekkomyślnie wygłaszającego polityczne uogólnienia, nie można kierownictwa powierzać przypadkowym konwentyklom i sejmikom, które dziś są, gdy jutro ich nie będzie, które skutkiem tego nie będą za możliwe błędy odpowiadały. Do ujęcia tego steru powołana jest tylko stała organizacya narodowa, która istniała wczoraj i jutro istnieć będzie, która wprawdzie nie mieści w sobie przedstawicielstwa wszystkich możliwych żywiołów naszego społeczeństwa, ale która przez kilkanaście lat swego istnienia, szereg doświadczeń i prac publicznych, prowadzonych w ciężkich warunkach, nauczyła się wsłuchiwać w opinię, czuć i myśleć z całym narodem. Utrzymać jednolitość opinii i polityki może tylko Liga Narodowa, a uznają to nawet ludzie zdala od niej stojący, którzy, nie mogąc z rozmaitych względów wejść w jej czynne szeregi, niemniej przeto rozumieją potrzebę i potęgę organizacyi narodowej, pewni będąc, że nigdy nie pójdzie ona wbrew zdrowym dążeniom społeczeństwa, nie będzie robiła prób narzucania mu obcych dążności.

Z powyższych względów enuncyacya Ligi Narodowej, ogłoszona z powodu wojny przed niedawnym czasem, musi być uważana za deklaracyę stanowiska politycznego całego społeczeństwa. Nie wątpimy, iż znajdzie się wielu, którzy się oburzą na takie jej określenie, ale ci stanowią cząstkę tylko społeczeństwa. Próby w przeciwnym kierunku, jakie chcieli oni przedsięwziąć, napotkały w opinii na tak wyraźny i stanowczy opór, że najenergiczniejsi między nimi działacze zrozumieli, iż wszelkiej akcyi trzeba zaniechać.

Oto są słowa odezwy:

Rodacy!

Jeden z dwóch odwiecznych naszych wrogów — Rosya znalazła dziś na Wschodzie azyatyckim groźnego przeciwnika. Rozszerzając chciwie swe zabory, wywołała wojnę, do której nie jest przygotowaną, a pierwsze jej porażki są zapowiedzią dalszych niepowodzeń, może klęsk i upokorzeń dotkliwych.

Naród nasz przyjmuje z radością wieści o porażkach Rosyi, bo instynktem politycznym, bo sercem jest po stronie jej wrogów. Nie ujmą nas frazesy o walce rasy białej z żółtą, cywilizacyi europejskiej z barbarzyństwem azyatyckiem, bo wiemy, że barbarzyństwo i azyatyzm — to Rosya z jej samowładnym rządem. Wiemy, ile dzielny, pracowity lud japoński zrobił dla cywilizacyi na krańcach Azyi, a patrzymy ciągle na to, co Rosya zrobiła dla zniszczenia tej cywilizacyi w Europie, na naszym własnym gruncie. Japonia walczy nie z przedstawicielami Europy, ale z państwową hordą azyatycką, z dziczą niszczycielską, która w Polsce oddawna tratuje po niwach dziesięciowiekowej pracy cywilizacyjnej i która dziś burzy w Finlandyi dorobek wielu pokoleń.

Jakkolwiek po stronie rosyjskiej walczą przymusowo synowie naszej ziemi, jakkolwiek krajowi naszemu na skutek tej wojny grożą ciężkie straty ekonomiczne, serca polskie na każde zwycięztwo nad wojskami Rosyi odpowiedzą radosnem biciem, bo każde z nich to cios wymierzony w nienawistną machinę państwową, w organizacyę wrogów, którzy rabują i niszczą kraj nasz, tamują jego rozwój, zabijają siły narodu i jego kulturę, zniepraviają w szkole młode pokolenia, gwałtami nawracają na wiarę państwową tych, co ją odpychają ze wstrętem.

Chociaż pamiętamy zawsze, że Polska niejednego ma wroga, że nie Rosya tylko grozi nam zniszczeniem, to wiemy dobrze, że pęta krępujące główną część narodu, czynią nas słabymi wobec wszystkich wrogów, a rozluźnienie ich wyzwoli nasze siły do skutecznej z wrogami walki, w której tylko na siebie liczyć możemy. W klęskach rosyjskich naród nasz wita zwiastuny lepszej swej przyszłości.

Tak czując i myśląc, nie jesteśmy i nie możemy być obojętnymi tej wojny widzami. Musimy śledzić bacznie jej przebieg, obliczać trzeźwo jej następstwa i do nich nasze zachowanie się stosować.

Wojna obecna nie zapowiada zmian na karcie Europy, któreby nas dotyczyć mogły. To wojna o panowanie i wpływy w Azyi. Ale otwiera ona długi okres walk na Wschodzie, walk pochłaniających siły Rosyi, która swobodnie się tam dotąd rozszerzała, a będzie zmuszona iść dalej w tym samym kierunku. Trzeźwy sąd nie pozwala oczekiwać od tej wojny zmiany granic Rosyi na Zachodzie. Nie możemy też występować jako czynni sprzymierzeńcy dzisiejszych wrogów Rosyi. Trzeba jasno zdać sobie z tego sprawę, ustrzedz się złudzeń, bo one utrudnią nam tylko wyciągnięcie z obecnego położenia należytych korzyści.

Ale wojna ta, chociażby szala powodzeń przechyliła się ostatecznie na stronę Rosyi, będzie dla niej niezawodną klęską; pociągnie ona niechybnie obniżenie uroku państwa carów w oczach ludów azyatyckich, poważne zachwianie jego finansów, a co najważniejsza, ujawnienie niemocy i szkodliwości rządów biurokracyi. Wojna ta przyśpieszyć musi przesilenie wewnętrzne i zbliżyć chwilę przebudowy ustroju politycznego państwa, a otwierający się na Wschodzie okres walk ciężkich zniewoli je do zmiany polityki względem narodów przez Rosyę uciskanych, w szczególności względem naszego narodu. Rosya będzie zmuszona liczyć się z nami. Wtedy od naszego zachowania się, od naszego rozumu politycznego, od naszej stanowczości i energii, od zgodności w naszych szeregach narodowych zależeć będzie los najbliższych polskich pokoleń.

Oczekując tej chwili, czuwać dziś musimy nad postępowaniem całego naszego społeczeństwa, strzedz je od fałszywych kroków, od wszystkiego, co mogłoby wytrącić je z równowagi i zmniejszyć przez to jego siły. Taką rolę odgrywałyby w obecnem położeniu wszelkie niewczesne wystąpienia: nie krępując wielce swobody rządu w jego działaniach wojennych, wprowadziłyby tylko dezorganizacyę w nasze własne szeregi.

Pierwsze próby agitacyi w tym kierunku zjawiły się już i niewątpliwie ponawiane będą w miarę niepowodzeń wojennych Rosyi. Przeciwdziałać im trzeba z całą siłą. Nie możemy pozwolić ani na to, żeby rządy obce przez swych agentów prowadziły nasz lud w kierunku dla nich korzystnym, ani na to, żeby choć kropla krwi polskiej przelała się w bezużytecznych i bezmyślnych próbach, wywoływanych przez nasze własne niedojrzałe żywioły.

Ale też bezwzględnie nie dopuścimy do tego, ażeby z innej strony popychano nasz ogół do jakichkolwiek wystąpień, ażeby prowokowano ludność manifestacyami wiernopoddańczemi i moskalofil-

skiemi. Rząd przez swych agentów niezawodnie zechce się o nie postarać; celem ich będzie zdemoralizować politycznie nasze społeczeństwo, podtrzymać Rosyę nazewnątrz, a nawewnątrz wzmocnić rząd carski wobec domagań się reform politycznych.

W spokoju, godności, panowaniu nad sobą i skupieniu czuwać mamy wszyscy nad postawą naszego narodu, odpowiednią ważności chwili, a całą energię czynu zwrócić na wzmożenie naszych sił wewnętrznych, naszej spoistości i sprawności organizacyjnej, na pracę obywatelską i walkę codzienną o narodowe prawa. W pracy tej, na którą czas jest zawsze, a której chwila obecna rychlejsze obiecuje owoce, nie wolno nam ustawać; dziś więcej niż kiedykolwiek sił winniśmy w niej wytężyć.

Ufni w dojrzałość społeczeństwa i w prawdziwy patryotyzm, który w chwilach wielkiej wagi skupia wszystkich pod jednym sztandarem i nakazuje zapomnieć o wewnętrznych sporach, w jego siłę moralną, która odróżnia energię i gotowość do czynu od niewczesnych porywów — ze spokojem patrzymy w przyszłość. Mamy mocną wiarę, że karta dziejów, która się w tej chwili odwraca, odsłoni nam nowe widnokręgi życia i nowe pola czynu. I pewni jesteśmy, że to jutro jest blizkie, że zastanie ono nasz naród świadomym swego położenia i swych zadań, zjednoczonym moralnie, pełnym sił świeżych do pracy i walki o swe najświętsze prawa.

Warszawa, w lutym 1904 r.

Komitet Centralny Ligi Narodowej.

Gdyby Liga potrzebowała dowodu, że stanowisko jej jest zgodne z panującą w kraju opinią, to najlepszym jest znakomite przyjęcie, z jakiem się spotkała jej odezwa w szerokich sferach społeczeństwa. Mamy pod tym względem niewątpliwe wiadomości.

Ogół nasz w zaborze rosyjskim coraz lepiej sobie uświadamia potrzebę stałego kierownictwa w sprawach ogólno narodowego znaczenia, a rozumiejąc, że w istniejących warunkach kierownictwo to nie może być jawne, uznaje organizacyę tajną. Niewątpliwie, byłoby rzeczą normalniejszą i zgodniejszą z podstawami cywilizowanego bytu politycznego, gdyby to kierownictwo wychodziło od ludzi znanych, podpisujących się nazwiskami, mających formalne mandaty od społeczeństwa, osobiście przed opinią publiczną odpowiedzialnych. Ale to przecie w państwie rosyjskiem, a zwłaszcza w podległych jego rządowi ziemiach polskich jest niemożliwe. Czyż dlatego mielibyśmy się pozbawiać kierownictwa politycznego i być jako statek bez steru, pozostawiony na łaskę byle podmuchu? Ci panowie z prasy zakordonowej, co narzekają na bezimienne odezwy, mylą się w tem określeniu: w zaborze rosyjskim dziś już zaczyna przeważać ta opinia, która odezw pomienionych za bezimienne nie uważa i której wystarcza za wszelkie imiona kła

dziony pod niemi podpis — Ligi. Wie ona, że ma do czynienia nie z uzurpatorami, którzyby, naśladując w niedojrzały sposób inne czasy i inne stosunki, chcieli się zabawić w dyktatorów, ale z ludźmi trzeźwymi, rozważnymi, służącymi sprawie publicznej tak, jak tego wymagają dzisiejsze warunki, nie szukającymi pola dla politycznej samowoli, ale pragnącymi być wykonawcami woli swego społeczeństwa.

Odezwa Ligi stwierdza dwa fakty: 1) że obecna wojna nie pozwala żywić nadziei na jakiekolwiek zmiany granic w Europie, zwłaszcza na naszym gruncie, i 2) że odbije się ona silnie na wewnętrznych sprawach państwa, zmuszając je do zmian w ustroju i w stosunku do podbitych narodów. Z tego wypływa logiczny wniosek, że nie możemy myśleć o żadnych czynnych wystąpieniach w chwili obecnej, że nie przyniosłyby one żadnych korzyści, a byłyby zgubne, jako osłabiające nas w tak ważnej chwili; że z drugiej strony musimy się wzmacniać i skupiać na najbliższą przyszłość, kiedy zmiany wewnętrzne w państwie mogą nam otworzyć pole do czynnej na szerszem polu akcyi politycznej.

Położenie jest w niej przedstawione jasno, bez żadnych szkodliwych niedomówień, i wnioski są wyciągnięte bez wahania. Enuncyacye takie mają wpływ ogromnie dodatni, przyczyniają się bowiem nietylko do rozwinięcia myśli politycznej w szerszych masach, ale także kształcą w nich polityczny charakter, polegający na tem, że naród nie idzie przed siebie na oślep, nie rzuca się w wir wypadków z zamkniętemi oczyma, ale jasno widzi przed sobą cel i zdąża do niego obraną z rozmysłem drogą.

Przewiduje ona możliwość manifestacyj wiernopoddańczych moskalofilskich ze strony tych, którzy gotowi są z każdej sposobności skorzystać dla przypodobania się rządowi, a między skutkami ich wskazuje na jeden, bardzo ważny: wzmacniając rząd nawewnątrz, pomagałyby mu one w pewnej mierze do stawienia oporu żywiołom dążącym do reform w państwie. Jakkolwiek najważniejsze próby w tym kierunku, przedewszystkiem zaś próba zorganizowania adresu do cara, zrobiły już w Królestwie fiasco, to jednak ostrzeżenie Ligi nie jest zbyteczne w oczach tych, co znają upór w złem pewnych działaczy politycznych na naszym gruncie.

Największym błędem politycznym wobec wypadków ze-

wnętrznych doniosłego znaczenia, byłoby zapominać, że istniejemy nie w jednym, ale w trzech zaborach, że obok Rosyi mamy wielkiego, nieprzejednanego, bodaj nawet niebezpieczniejszego od niej wroga — w państwie niemieckiem. Byłoby dowodem największego krótkowidztwa politycznego, gdybyśmy robili jakiekolwiek obliczenia na przyszłość, kreślili sobie jakie szersze plany, nie licząc się ze stanowiskiem rządu berlińskiego.

Wszelka zmiana polityczna, któraby rodaków naszych w zaborze pruskim wystawiła na większe jeszcze niebezpieczeństwo, niż to, w którem dziś się znajdują, byłaby naszem zdaniem zgubną dla całego narodu. Bo, jak to już nieraz stwierdziliśmy, rozumiemy w całości, jaką klęską, jaką zaporą dla samoistnej naszej przyszłości narodowej byłaby utrata naszych północno-zachodnich terytoryów.

Ale śmieszne jest stanowisko tych, którzy z tego powodu nie pragną klęski Rosyi, bo ta pociągnęłaby wzmocnienie się Niemiec. Tak jak gdyby Rosya choć w czemkolwiek krępowała Niemcy i przeszkadzała im prowadzić politykę eksterminacyjną względem Polaków! Przeciwnie, pomagała im ona tylko i dziś znakomicie ułatwia im zadanie przez ucisk narodowy i polityczne ubezwładnienie ziem polskich zaboru rosyjskiego.

Inaczejbyśmy wyglądali w walce z Niemcami w zaborze pruskim, gdyby Królestwo Polskie, ta największa, najzdrowsza społecznie, najzamożniejsza i narodowo najsilniejsza część Polski, znalazła się w warunkach, pozwalających jej rozwinąć w całej pełni narodową energię. Rodacy nasi, walczący z Prusakami, poczuliby wtedy, że mają się o kogo oprzeć. Dla naszej więc walki z Niemcami potrzebujemy tego, ażeby Rosya znalazła się w położeniu, zmuszającem ją do reform politycznych i do zmiany stanowiska względem Polaków. Taki też punkt widzenia zajmuje odezwa Ligi.

W interesie całej naszej przyszłości, dla powodzenia naszej walki ze wszystkimi naszymi wrogami, trzeba ażeby Rosya poniosła w obecnej wojnie stanowczą klęskę. Klęski tej życzymy jej z całego serca.

Sami zaś, patrząc z otuchą w przyszłość, ze spokojem oczekujemy chwili, która nas powoła do zabrania głosu.

PRZEMYSŁ KRÓLESTWA A ROSYJSKA EKSPANSYA W AZYI.

Niewątpliwie wybuch wojny na Dalekim Wschodzie sprowadzi szereg ciężkich zaburzeń w życiu ekonomicznem Królestwa. Z jednej strony kraj nasz związany szeregiem węzłów ekonomicznych z gieldami Petersburga i Berlina ciężko odczuje wstrząśnienie finansowe, jakie wywołuje wojna, zwłaszcza taka jak obecna, dla sfer gieldowych nieoczekiwana, z drugiej zaś czeka Królestwo kryzys inny, wynikający z charakteru jego przemysłu, zbyt obliczonego na Rosyę i na dalekie rynki azyatyckie. Ten drugi kryzys mieć będzie zapewne o wiele większe znaczenie i długo trwać będzie, a nawet stać się może początkiem głębokich przeobrażeń w całym charakterze naszego przemysłu, sprowadzając upadek pewnych jego gałęzi, a inne kierując na nowe tory.

Wiadomo, jak dalece wzrosło w ostatnich latach kilkunastu znaczenie ekspansyi politycznej rosyjskiej w Azyi dla naszego życia społecznego i to nietylko przez otwieranie nowych rynków dla przemysłu Królestwa, nietylko przez zainteresowanie naszych fabryk żelaznych sprawą rosyjskich kolei strategicznych, ale różnemi drogami pośredniemi. Z Królestwa udaje się wielu nietylko na urzędy i miejsca na nowych kolejach żelaznych, ale i dla szukania szczęścia w rozmaitych przedsiębiorstwach. To wszystko znaleźć musiało pewien wyraz w opinii publicznej: jest już obecnie w Królestwie dość znaczna sfera ludzi, którzy w rynkach wschodnich, a w znacznej mierze w azyatyckiej polityce rządu widzą najpoważniejszą rękojmię rozwoju naszego handlu i przemysłu, pośrednio zaś przyszłości całego kraju. Stąd już niedaleko do poczucia wspólności swoich interesów z tą polityką, a w dalszym ciągu — trwałej solidarności z państwowymi interesami Rosyi, do faktu moralnej przynależności do tego państwa.

Nietylko interesowi ekonomicznemu podporządkowano tu inne względy, ale — co nas w tej chwili obchodzi — interes ten pojmowany jest bardzo jednostronnie i obliczany na krótką metę. Wybuch wojny, ograniczając, albo przecinając w znacznej części handlowe stosunki naszego kraju z Azyą, przypo-

mina nam w sposób oczywisty tą prawdę, że na niepewnym gruncie wznosiliśmy budowę dobrobytu krajowego — ale do tego wniosku można i należało przyjść już oddawna. Wbrew różnym «realnym» ekonomistom w guście Blocha, wojna nie odeszła wcale do archiwum historycznego i zapewne nieprędko odejdzie, z drugiej strony przemysłowi naszemu w Azyi grozi nietylko wojna, nietylko polityka, lecz cały szereg innych bardzo ważnych okoliczności. Czas uświadomić sobie tę prawdę, że rozwój naszego przemysłu, który uważaliśmy za taką ważną zdobycz, przedstawia dla naszego stanu społecznego o wiele mniejszą wartość; w obecnej zaś chwili przemysł ten, uzależniony od polityki rządu rosyjskiego i sam chętnie się od niej uzależniający, odczuwa niebezpieczne skutki zaciętej rywalizacyi międzypaństwowej, jakiej polem staje się Azya.

Był czas, kiedy rozwijający się przemysł Królestwa budził najbardziej różowe nadzieje i niezachwianą wiarę co do przyszłości ekonomicznej kraju, kiedy w rozległych i, jak się wtedy zdawało, niewyczerpanych rynkach wschodnich widzieć chciano rekompensatę za utraconą niepodległość, za ucisk narodowy, za brak najelementarniejszych swobód politycznych.

Daleko już za nami pozostały te złudzenia. Pomijając już zupełnie sam pogląd, według którego prawa narodowe i ludzkie można wymieniać na dywidendy, musimy zaznaczyć, że nadzieje te opierały się na bardzo kruchej podstawie w dziedzinie czysto ekonomicznej. Rozwój przemysłu w Rosyi samej okazuje pewien niezdrowy charakter, wywołuje ostre krytyki i różne pesymistyczne przewidywania — nasz zaś, uzależniając się coraz bardziej od ogólnych konjunktur ekonomicznych i politycznych państwa rosyjskiego, zaraził się również tymi niezdrowymi pierwiastkami: stając się w znacznej mierze częścią przemysłu rosyjskiego, przejął on też kursujące iluzye rosyjskie. Wśród iluzyj tych, którym ostatnie lat kilka przyniosły dotkliwe ciosy, była silna wiara w olbrzymią, rzec można, niewyczerpaną pojemność rynku rosyjskiego, który pomnażać wciąż jeszcze miały nieprzejrzane obszary azyatyckie. Wiedziano wprawdzie, że żaden rynek nie jest nieograniczony, wiedziano również i to, że w okolicach, służących dotąd tylko za teren zbytu, powstaje również przemysł, który jutro konkurować będzie z wczorajszymi dostawcami, ale nie rachowano się z temi przewidywaniami, tak jak nikt nie rachuje się z obli-

czeniami statystyków, przepowiadających ogólne przeludnienie lub wyczerpanie zapasów węgla.

Sądzimy, że za spóźnione echo tych zapatrywań uważać należy dwie prace z lat ostatnich, traktujące o przemyśle Królestwa: pp. Henryka Radziszewskiego [1]) i Stanisława Koszutskiego [2]).

Obie wymienione rozprawy, mające zresztą przeważnie charakter statystyczny, odznaczają się wybitnym optymizmem co do przyszłości przemysłowej Królestwa, tak dalece, że w żadnem z nich nie zadał sobie autor pytania, o ile przemysł ten ma ugruntowane podstawy oraz widoki długiego istnienia i dalszego rozwoju.

Obie wymienione prace, których autorzy zebrali znaczny materyał statystyczny, nie dotykają ani kwestyi spolszczenia naszego przemysłu, ani jego przyszłości.

Ostatnie lata kryzysów przemysłowych w Rosyi i u nas podkopały w znacznym stopniu dawny optymizm, wzniеciły pewne obawy na przyszłość i na porządku dziennym postawiły takie kwestye, które dawniej niewątpliwie przemysłowiec praktyk skłonny byłby uważać za akademickie. Zależność przemysłu naszego nietylko od rynków rosyjskich i azyatyckich, ale wprost od każdorazowej polityki ekonomicznej rządu, wobec wstrząśnień, którym podlegać zaczyna przemysł w całem państwie, nasuwa poważne refleksye; wobec zaś tego, że wspólne rynki dla rosyjskiego i naszego przemysłu okazują się już teraz znacznie szczuplejsze, niż przypuszczano dawniej, zachodzić musi obawa, że rząd skłonny będzie z naszego przemysłu robić ofiary na rzecz przemysłowców rosyjskich.

Jak wiadomo, od dwóch lat przeszło trwa w całem państwie przesilenie w przemyśle żelaznym. Przesileniu temu poświęca p. Żukowski [3]) niewielką ale ciekawą pracę, której ważniejsze punkty streścimy w dalszym ciągu. Jakkolwiek stosowane tylko do przemysłu żelaznego rzucają one ciekawe światło na ogół zagadnień przemysłowych.

---

[1]) Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem. W naszych sprawach. T. II. Warszawa 1900.

[2]) Rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem. Warszawa 1901.

[3]) Władysław Żukowski. Przesilenie w przemyśle żelaznym. Warszawa 1903.

Przemysł żelazny zajmuje w Królestwie pozycyę ważną, bynajmniej atoli nie najważniejszą. Niewiele mniej, niż połowa wartości wielkiego przemysłu fabrycznego w Królestwie, obliczonego razem na sumę 340 milionów rubli, przypada na przemysł bawełniany, wełniany, płócienny i jedwabny, ogólnie — przemysł tkacki. Temu to przemysłowi zawdzięczają poprostu byt zarówno Łódź, jak szeregi okalających ją miast i osad przemysłowych. Wzrost jego pozostaje w bardzo ścisłym związku z rynkami wschodnimi; dość wskazać kilka cyfr statystycznych. Wiadomo, że w r. 1850 nastąpiło zniesienie granicy celnej między Cesarstwem a Królestwem: przed tą datą fabryki wełniane w Królestwie produkowały rocznie za 2,564.000 rub., a w roku 1860 już za 4,354.000 rub., bawełniane w r. 1850 za 2,673.000, a w r. 1861 aż za 8,091.000 rub. Wprowadzenie cła w złocie tudzież szereg zarządzeń celnych w duchu protekcyjnym sprzyjało dalszemu wzrostowi tego przemysłu. Pod tymi wpływami rozrósł się on niepomiernie, przekraczając znacznie zapotrzebowanie miejscowe i rozlewając swój wywóz nietylko po rynkach Rosyi europejskiej, ale szukając troskliwie dróg ujścia w Azyi. Wobec dzisiejszego zaniedbanego stanu statystyki w państwie rosyjskiem, określenie stosunku, w jakim pozostaje spożycie miejscowe tego przemysłu do eksportu na rynki cesarstwa, jest rzeczą niezmiernie trudną; należy poprzestać na przybliżeniach mniej lub więcej uzasadnionych. Janżułł twierdzi, że do cesarstwa idzie większa część i że stosunek ten wyraża się procentowo cyframi 52% i 48%.

Nie ulega wątpliwości, że dla tej gałęzi przemysłu wielką wagę posiadają rynki azyatyckie. Z bardzo dobrych źródeł czerpiemy informacye, że tak stosunkowo nieznaczny fakt, jak zachwianie wpływów rosyjskich w Persyi, odbiło się już w Łodzi wprawdzie nie w stanie faktycznym interesów, ale na konjunkturach i przewidywaniach. Rynki azyatyckie, ośmielamy się to twierdzić wbrew rozpowszechnionej opinii, stanowią z kilku względów bardzo niepewny teren dla naszego przemysłu. Przedewszystkiem należy pamiętać o potężnej konkurencyi okręgu moskiewskiego, z tego względu bardzo groźnej, że wymagania tamtejszych sfer przemysłowych daleko większy znajdują posłuch u rządu niż naszych. Wprawdzie nasz przemysł tkacki dzięki wielu warunkom góruje nad moskiewskim pod względem organizacyjnym i po części technicznym, ale tamten posiada

zato pewne naturalne atuty, które z biegiem czasu mogą się wysuwać na plan pierwszy. Fabryki wyrobów bawełnianych sprowadzają produkt surowy z Indyj, Ameryki, z Egiptu; od niedawna zaś zaczęły sprowadzać również z Rosyi Azyatyckiej.

Bawełna, sprowadzana drogą morską przez Libawę, Petersburg i Rewel, wypada taniej nieco w Łodzi niż w Moskwie, ale różnica jest nieznaczna. Nie należy jednak zapominać, że już dzisiaj spora ilość surowej bawełny idzie z Azyi drogą lądową z posiadłości rosyjskich w Azyi środkowej albo z Persyi; otóż ta bawełna dostaje się znacznie taniej Moskwie niż Łodzi. Bawełna azyatycka odegrywać zaś musi rolę jeszcze ważniejszą w przyszłości, bo tak czy owak olbrzymie przestrzenie Azyi przestają leżeć odłogiem, lecz w tych czy w innych rękach staną się przedmiotem należytej eksploatacyi. Co do wełny, to okręg łódzki zmuszony jest sprowadzać ją w znacznych ilościach z Rosyi, płacąc, rozumie się, znacznie drożej za przewóz niż centrum Rosyi; i tu więc surowy materyał dostaje się znacznie taniej przemysłowi rosyjskiemu.

I rynki zbytu, nietylko europejskie ale i azyatyckie, ma on bliżej, a więc przewóz ma znacznie tańszy, tem więcej, że jak wiadomo taryfy kolejowe ułożone są dla nas niekorzystnie. W dodatku ma za sobą poparcie rządu, które przyjdzie niewątpliwie, jeżeli całą tę obszerną gałęź produkcyi dosięgnie kryzys i jeżeli współzawodnictwo między dwoma najważniejszemi jej ogniskami stanie się nieubłaganem.

Niepewne położenie polityczne na wschodzie Azyi, z którego wywiązać się mogą nieobliczone konsekwencye, nasuwać musi podobne wnioski i obawy. Chwila taka, jak obecna, przypominać nam musi, że rozwój przemysłu naszego poszedł zbyt jednostronnie, zbyt uzależniony został nietylko od związku politycznego z państwem rosyjskiem, ale i od każdorazowych losów jego polityki wewnętrznej i zagranicznej, nietylko od ceł i taryf kolejowych, ale i od powodzenia rosyjskiej polityki zaborczej.

Zresztą niektóre ważne gałęzie przemysłu nie potrzebowały czekać na komplikacye polityczne, aby uledz przesileniu: od dwóch lat, jak powiedzieliśmy, oglądamy w całem państwie rosyjskiem i Królestwie przesilenie w przemyśle żelaznym. W wymienionej powyżej broszurze p. W. Żukowski za najważniejszą przyczynę przesilenia obecnego uważa zbyt wielką wiarę

przemysłowców w rynek rosyjski, wiarę, którą sam rząd nieopatrznie podniecał. Nie nadprodukcya realna, t. j. przewyżka podaży istniejącego towaru nad rzeczywistym popytem na żelazo, jest główną przyczyną przesilenia, lecz coś nierównie głębszego i bardziej zasadniczego, co autor nazywa nadprodukcyą potencyalną. Istniejące w państwie huty mogą wyprodukować 300 milionów pudów surowca, a walcownie i odlewnie jeszcze więcej przerobić na żelazo i odlewy. Tymczasem całe spożycie nie przewyższa 200—210 milionów pudów. To znaczy, że urządzono instalacye do przemysłu żelaznego zawielkie i zadrogie, że trzecia ich część jest skazana na nieczynność, że trzecią część kapitałów można uważać za przepadłą. «Rzecz bowiem jasna, że każda organizacya przemysłowa dąży do zużytkowania wszelkich swoich zasobów i, dopóki tego nie osiągnie, dopóty ustalenie równowagi między podażą i popytem jest niepodobieństwem, najlżejsze bowiem polepszenie na rynku, najmniejsze ożywienie popytu puści w ruch drzemiące instalacye; przy takim zatem olbrzymim odskoku między potencyalną wytwórczością a rzeczywistem spożyciem, rzeczywista nadprodukcya musi być, rozważając teoretycznie, objawem na długie lata». W Królestwie Polskiem, puściwszy wszystkie instalacye, możnaby produkować 25—30 milionów pudów, gdy w rzeczywistości w 1900 r. produkcya wynosiła 18 milionów pudów, w 1901 — 16·8, a w r. 1902 — 16·5 milionów.

W ostatnich latach mamy do czynienia z niewątpliwym faktem spadku ogólnego spożycia żelaza w całem państwie i autor oblicza je w r. 1902 na 175—178 milionów surowca, t. j. mniej niż w r. 1900 i w 1901.

Dość jest rozpowszechnione zdanie, że rezultat ten zawdzięcza przemysł żelazny zmniejszeniu obstalunków kolejowych. Zdanie to w stosunku do przemysłu rosyjskiego jest według autora niesłuszne, bo obstalunki te nie zmniejszyły się bynajmniej w latach ostatnich, utrzymując się jak dawniej w liczbie 60 milionów pudów surowca. Królestwo zaś zostało pod tym względem przez rząd upośledzone, co odegrało oprócz warunków ogólnych, znaczną rolę w jego bilansie.

Spożycie rządowe, militarne i kolejowe, wynosi nieco więcej niż $^1/_3$ ogólnej ilości surowca. Przed rokiem 1900 wynosiło ono więcej, dochodząc np. w r. 1895 i 1896 niemal do 50%. Rząd, przystępując po roku 1890 do budowy dróg żelaznych na

wielką skalę, popierał produkcyę przeznaczoną na potrzeby kolejowe. Przedsiębiorcy, którzy zgodzili się urządzać nowe fabryki, otrzymywali długoterminowe obstalunki rządowe relsów, lokomotyw i wagonów. Przyczyniła się ta polityka znacznie do «dwóch zasadniczych chorób przemysłu metalurgicznego, t. j. do nadprodukcyi i nieustającego poszukiwania opieki rządowej». W r. 1900 rząd określił dla relsów normalną cenę po 1 rs. — 1.25 za pud i, chcąc ograniczyć ich produkcyę, postanowił nie udzielać innym fabrykom tych obstalunków. Od roku 1900 utworzyła się grupa fabryk t. zw. relsowych w liczbie 9, z których 6 było na południu, a 3 na Uralu. Królestwo od dostawy relsów zostało wyłączone, otrzymując inne mniej korzystne obstalunki kolejowe. Tymczasem dostawa relsów okazuje się zwłaszcza w latach ostatnich interesem znacznie lepszym od fabrykacyi belek i żelaza handlowego.

Za pud płacono kopiejek:

	w r. 1900	1901	1902	1903
Surowca	65	55	49	38
Relsów	119	125	125	125
Belek	175	145	115	70
Żelaza handlowego	170	155	130	106
Drutu walcowanego	150	135	125	104
Blachy kotłowej	210	155	115	130
Blachy cienkiej	280	260	245	225

A więc tylko ceny relsów utrzymały się na dawnym poziomie; pozostałych gatunków ceny uległy znacznej zniżce.

Rząd rosyjski, chcąc dać coś wzamian innym fabrykom za zmonopolizowanie fabrykacyi relsów, utworzył niedawno komitet do podziału obstalunków rządowych. Podniesiono liczbę fabryk relsowych z 9 na 11 i usiłowano przeprowadzić zasadę, że wszelkie inne obstalunki, jako to: mosty, zwrotnice, żelazo handlowe i t. d., będą otrzymywały fabryki nierelsowe. «Naturalnie są to paliatywy, ponieważ 25 milionów pudów relsów nie można zrównoważyć 6—8 milionami innych obstalunków, a przytem względy techniczne nie pozwalają odbierać fabrykom relsowym wszelkich innych robót po za relsami. Sytuacya zatem, z małem polepszeniem na rzecz polskich fabryk, które po wyłączeniu fabryk relsowych od wyrobu skarbowych akcesoryów otrzymają nieco wyższą porcyę tychże, pozostała prawie bez zmiany». Stopniowy spadek obstalunków kolejowych musiał się odbić niekorzystnie na interesach naszych zakładów

żelaznych. Obstalunki te przedstawiają towar droższy i wymagający więcej pracy, niż żelazo handlowe; ubytek więc ich obniża przeciętną wartość sprzedanego puda żelaza. Przeciętna wartość puda sprzedanego wynosiła, według autora, w r. 1900 — 1 rs. 62 kop., a w r. 1902 — 1 rs. 22 kop. Jest to więc strata poważna, która na całej produkcyi wyraża się cyfrą 6 milionów rs.

Odpowiednio do tego zmniejszyła się ilość robotników, zatrudnionych w przemyśle żelaznym, która z 15.889 w r. 1900 spadła w r. 1902 na 11.853.

Wobec współzawodnictwa południowej Rosyi, produkcya niższych gatunków żelaza skazana jest na obniżenie, a nawet na upadek. Surowiec południowy sprzedawano w r. 1902 po cenie 50 kop. za pud, licząc w to i przewóz, t. j. po takiej, która hutom w Królestwie już się nie opłaca.

Przywóz z Cesarstwa do Królestwa wynosi	1.9	mil. pudów
Przywóz z zagranicy na potrzeby Królestwa	1.3	« «
Wywóz z Królestwa do Cesarstwa polskiego żelaza	5.2	« «
Saldo wynosi	2	mil. pudów

Z Cesarstwa przychodzi towar tańszy przeciętnie po 1 rs. 50 kop., z zagranicy wyższe gatunki żelaza mniej więcej po 3 rs.

Przywóz z Cesarstwa	2.85	mil. rs.
Z zagranicy	3.95	« «
Wywóz z Królestwa	9.36	« «
Saldo	2.56	mil. rs.

Okazuje się, że ostatecznie przewyżka wywozu nad wwozem nie wynosi więcej w Królestwie nad 3 miliony rub. W dziedzinie spożycia przemysłowego i t. zw. przez autora bezpośredniego (maszyny rolnicze, gwoździe, łóżka, meble, noże, instrumenty i t. d.) kraj nasz płaci zagranicy jeszcze duży haracz. «Gdybyśmy wyobrazili sobie, że zamiast 1.3 mil. pudów z zagranicy i 1.9 mil. pudów z Cesarstwa, kraj nasz sprowadza tylko jakie pół miliona gatunków specyalnych, wówczas odrazu znalazłoby się miejsce dla 2.5 mil. pudów żelaza krajowego.

Gdyby nadto, zamiast sprowadzać 2.2 mil. pudów maszyn, narzędzi i wyrobów żelaznych z zagranicy i około 400 tysięcy z Cesarstwa, kraj nasz sprowadzał tylko 600 tys. wyrobów specyalnych, znowu znalazłoby się miejsce przynajmniej dla 2.5 mil. pudów (licząc stratę przy wyrobie) żelaza krajowego. Wi-

dzimy zatem, że kraj nasz może pochłonąć całą swoją obecną produkcyę metalu pod warunkiem rozwinięcia na miejscu przemysłu maszynowego i fabrycznego».

Chodzi więc nie o co innego jak o to, żeby przemysł nasz wzniósł się na wyższy poziom, ażeby produkować mógł owe droższe gatunki żelaza, ażeby wyzyskał odpowiednio zdolności i wyrobienie kulturalne ludności, bo inaczej korzystniejsze warunki naturalne południowego okręgu wciąż większą zyskiwać będą przewagę.

Porzućmy kwestyę przemysłu żelaznego, którym zajęliśmy się właściwie dla ilustracyi twierdzenia ogólnego; spojrzyjmy na charakter i rozwój przemysłu naszego po r. 63. Szedł on w kierunku najmniejszego oporu i największej dywidendy; żadna myśl obywatelska nie przewodniczyła ożywionemu ruchowi przemysłowego i handlowemu, jaki zapanował w Królestwie. Przemysłowiec ówczesny, jak zresztą i dzisiejszy, myśli o tem tylko, jak zyskać możliwie dobrą lokatę swego kapitału; czy interes ten stanowi trwalszy nabytek dla kraju, czy nie, to nie obchodzi go zgoła, aby tylko on sam był w stanie wycofać swój kapitał z grubym procentem. W ten sposób powstać może szybko przemysł, przynoszący jednostkom fortuny, ale stanowiący dla kraju wartość o wiele mniejszą, niż się zdawało ówczesnym heroldom plutokratycznego rydwanu. Zaczynamy dzisiaj rozumieć, że przemysł krajowy albo narodowy to nie to samo, co przemysł, który z tych czy innych względów obrał sobie miejsce w danych okolicach. Wprawdzie i wśród narodów niepodległych oddzielny przedsiębiorca kieruje się także widokami zysku, a nie szerszemi kombinacyami, ale o ostatnich myśli na seryo opinia, rząd, odpowiednie ciała zbiorowe i t. d., a te nie tracą nigdy poczucia tej różnicy. Jak silne wrażenie np. robi w Anglii albo w Niemczech wieść, że amerykańscy kapitaliści chcą wciągnąć w sieć swoich wpływów odpowiednie niemieckie albo angielskie towarzystwa okrętowe!

U nas tych organów świadomości narodowej nie było albo były zbyt słabe; to też nietylko nie byliśmy w stanie nadać lepszego, zgodniejszego z potrzebami społeczeństwa kierunku naszemu przemysłowi, ale nawet wytworzyć należytych pojęć w opinii. Kraj nasz w dziedzinie przemysłowej popłynął za kosmopolityczno-rosyjską falą, marzył o podboju rynków wschodnich i w tym jednostronnym rozwoju, odnosząc łatwe zwycię-

ztwa, pozwalał jednocześnie na to, ażeby cudzoziemcy, Niemcy, Francuzi, Belgowie i t. p., zajmowali zaniedbane placówki i traktowali kraj nasz jak teraz tylko do eksploatacyi. Ileż w czasach ostatnich podnosiło się biadań na to, że przedsiębiorstwa, których podjąć się powinny nasze kapitały, wpadają w ręce firm i towarzystw cudzoziemskich.

Od niedawnego czasu w samej Rosyi podnosi się reakcya przeciw wygórowanym nadziejom, które budził w szerokich kołach przemysł, rozwijający się nienormalnie i niezdrowo.

Obecna wojna w Azyi prócz przesileń, które przyniesie bezpośrednio, choćby tylko z powodu przerwania ruchu na kolejach i wstrząśnień finansowych, zagraża w poważny sposób zwężeniem albo nawet utratą rynków azyatyckich, usuwając w ten sposób tę podstawę, na której przemysł i handel nasz coraz więcej opierał swe nadzieje. Należy pamiętać, że wywóz i handel rosyjski w Azyi jest oparty na potędze i uroku państwowym w stopniu daleko wyższym niż handel i import jakiegokolwiek innego państwa. Kiedy Anglik lub nawet Niemiec usiłuje bić współzawodników dobrocią lub taniością towarów, zręcznem a szybkiem podpatrzeniem potrzeb i gustów azyatyckich narodów, kiedy rozgałęzione stosunki handlowe do życia powołują ruchliwe towarzystwa, zręcznych ajentów, kiedy najpierwszym obowiązkiem konsulów jest studyowanie stosunków handlowych i informowanie o nich swojego kraju, Rosya zastępuje to wszystko jedynym środkiem — siłą państwową. Siłą albo postrachem rozciąga ona wpływ swój na całe krainy, wymusza korzystne traktaty, stwarza dla siebie monopole i za pomocą tychże oraz baryer celnych odsuwa współzawodników. Wpływy ekonomiczne i polityczne wogóle łączą się ściśle na Wschodzie, kiedy jednak Anglicy np. za pomocą pierwszych osiągają drugie, Rosyanie wszystko osiągają drogą polityczną i sam handel ich biegnie śladem dróg strategicznych.

W tych warunkach przemysł i handel rosyjski i nasz nie rozwijają się należycie, nie uczą się walczyć ze współzawodnikami na właściwym terenie ekonomicznym, lecz pędzą wygodny i demoralizujący żywot za baryerami ceł ochronnych i monopolów, nieprzygotowane do konkurencyi, kiedy ich zabraknie.

Czy może ich zabraknąć?

Przed rokiem sfery, robiące interesy na handlu ze Wschodem, uważałyby za stratę czasu zajmowanie się tą kwestyą —

dziś staje ona w postaci bynajmniej nie fantastycznej. Jeżeli Rosya nie odniesie w obecnej wojnie zwycięztwa, jeżeli wynikiem jej będzie wzmocnienie stanowiska Japonii i uznanie nietykalności Chin wraz z zasadą »drzwi otwartych», to interesy ekonomiczne Rosyi, opierające się właśnie na «drzwiach zamkniętych», poniosą ciężką klęskę. Tymczasem Anglia, korzystając z wojny, usiłuje rugować wpływy rosyjskie z Persyi, co także znajdzie odpowiedni wyraz w języku ekonomicznym.

Polityczna ekspansya rosyjska zrobiła w Azyi samo państwo konsumentem wytworów przemysłu; budowa floty, kolei żelaznych, fortec, tworzenie drogą administracyjną całych miast (Dalnij), wysyłanie całych legionów dobrze płatnych urzędników i t. d., wszystko to niewątpliwie rozszerza rynek azyatycki. Jeżeli atoli wojna nie da rezultatów stanowczych, a długo trwać będzie, to państwo wyjdzie z niej z ciężkimi kłopotami finansowymi i setki milionów rzucane na Azyę ulegną redukcyi.

Przemysł nasz, który rozwijał się jednostronnie i nienormalnie, może dopiero z konieczności szeregiem katastrof ekonomicznych zmuszony zostanie wejść na drogę trudniejszą o wiele, ale i płodniejszą z punktu widzenia interesów ogólnych, na drogę intensywnego wyzyskania rynku miejscowego, podwyższenia typu technicznego, opanowania całych gałęzi wytwórczości zamiast importu z zagranicy i z cesarstwa, a co za tem idzie i mocniejszego zespolenia się z potrzebami i środkami własnego społeczeństwa.

Bol. Nidzicki.

EPOKA NAPOLEONSKA W «POPIOŁACH».

Powieść historyczna pióra wybitniejszego autora jest u nas zjawiskiem, z którem się dziś zwłaszcza liczyć trzeba. Mniej skrępowana, niż historya, bo opisująca nie tylko to, co było, ale i to, co być mogło, mogąca zatem przedstawiać swych bohaterów w dowolnych sytuacyach i nadawać przez to epoce barwę wyrazistszą, powieść historyczna miała zawsze, ma i mieć będzie znaczniejsze koła czytelników, niż najlepsze dzieła historyczne. Stąd jej wpływ znaczny, znany powszechnie z dziejów, takich książek, jak «Listopad» i «Ogniem i mieczem». Po-

stacie takich książek wchodzą w życie, popularniejsze nieraz więcej, niż osoby istotnych działaczy historycznych, a sądy o epoce wciskają się z taką siłą w mózgi ludzkie, że ich wpływu doznaje nawet pośrednio nauka historyczna, zwłaszcza jeżeli się znajduje na tak nizkim stopniu rozwoju, jak nasza. W literaturach obcych, gdzie kultura historyczna jest większą, stosunek powieści historycznej do historyi przybrał charakter normalny i spotykamy się tam np. z faktami, że historyk tej miary, co Sorel, przy charakterystyce armii francuskiej we Włoszech w r. 1796 odwołuje się do Stendhala *Chartreuse de Parme*, a przy studyach nad epoką napoleońską zawodowiec bierze do ręki powieść Balzaka, dającą w artystycznej pełni psychologię ludzi tego czasu. U nas, gdzie powieść historyczna ma znaczenie bez porównania większe, stan ogólny kultury historycznej uniemożliwia istnienie podobnego uzupełniania się nauki i powieści i daje powód do najzupełniej samodzielnych eksperymentów powieściopisarskich, dzięki czemu zawsze z pewnym niepokojem bierze się do ręki nową powieść historyczną, zwłaszcza jeżeli dotyczy ona bliższej nas epoki i jeżeli, powtarzamy, wychodzi z pod pióra wybitniejszego pisarza. Przykład «Listopada» jest w tym względzie smutnym dowodem, na co powieściopisarz historyczny pozwolić sobie u nas może.

Dzisiaj we wszystkiem odwołujemy się do historyi. Jeżeli po roku 1863 nastąpił prąd jak najbardziej stanowczego zerwania z tradycyą, to dziś nawet ruchy najradykalniej traktujące przeszłość szukają dla siebie tradycyi, pragnąc na swój rachunek zużytkować, ma się rozumieć odpowiednio sfabrykowane, «wskazania przeszłości i tradycyi narodowej».

Słabo zbadana, bardzo mało naogół wśród inteligencyi naszej znana, przeszłość ta nadaje się mocno do takich przeróbek. Historya z natury rzeczy mniej może służyć do takich operacyj, natomiast wspaniałem polem dla nich jest powieść historyczna. Dziś coprawda można się już nie obawiać tak radykalnych prób przeciwstawienia dzieła artystycznego wszystkim wyobrażeniom narodu o tem, co było dobrem a co złem w danej epoce, na jakie pozwolił sobie Rzewuski; nie byłoby to w guście czasu. Ale zawsze obawiać się można tego, że autor, trzymając się pozornie zasadniczych wyobrażeń o przeszłości (zresztą dziś chyba nie gruntowniejszych wśród ogółu, niż w czasie napisania «Listopada», gdzie więcej miano związku

żywego z czasami Stanisława Augusta, niż my np. z okresem królestwa kongresowego), tak zmieni, dzięki przedstawianym przez siebie sytuacyom i charakterom, tło epoki, że dokona w rezultacie przeróbki mało co mniej radykalnej od Rzewuskiego.

Powieściopisarz może dokonać takiej operacyi nietylko w imię tej lub owej doktryny, ale również poprostu z powodu swej indywidualności artystycznej, skłaniającej go do wykrawania wszystkich charakterów na pewne określone modły. Niebezpieczeństwo tego rodzaju u nas jest obecnie tem większe, że dziś wzrosły nasze zapotrzebowania na rzeczy historyczne, że doprawdy panuje u nas przeświadczenie, iż koroną twórczości powieściopisarskiej jest powieść historyczna, dzięki czemu dramaty historyczne, powieści historyczne piszą autorowie tak związani z pojęciami i uczuciami doby obecnej, że z góry wyobrazić ich sobie niepodobna, jako autorów czegokolwiek mającego związek z historyą.

Historya, powieść historyczna wymagają od piszącego jednego kardynalnego warunku: nietylko zainteresowania, ale wprost sympatyi do pewnej chwili dziejowej, urabiającej trochę odmienne od dzisiejszych charaktery. Takiego zainteresowania trudno się spodziewać u talentów, związanych zanadto organicznie z pojęciami i uczuciami jednego pokolenia.

Żeromski swą sławę dotychczasową zawdzięczał przedstawieniu pewnych określonych sytuacyj i charakterów. Były to sytuacye ludzi gorąco współczujących walkom i nędzom życia, ale tak targanych sprzecznościami wewnętrznemi, że doprowadzało ich to do poczucia zupełnej niemocy własnej, tak, że ich altruizm objawiał się tylko, z powodu tej niemocy, jako uczucie depresyi wewnętrznej i kazał im patrzeć w rezultacie na zjawiska, rozegrywające się przed ich oczyma, z poczuciem rozpaczliwego fatalizmu. Sytuacye, wśród których wprowadzał autor swych bohaterów, były zawsze raczej sceneryą, naszkicowaną tylko lekko, aby dać pole do rozegrania się tragedyi duszy, współczującej ale bezsilnej. Z tymi typami zżyło się całe wyobrażenie o nim, jako o powieściopisarzu, do kreślenia ich urobił sobie Żeromski swój piękny język, swą formę pisania powieści raczej fragmentami pamiętnikarskimi, przerywającymi wciąż snującą się słabo akcyę powieściową. Jeżeli czasami pragnął autor któregoś ze swych bohaterów wyłamać z pod tej

ogólnej tragedyi człowieka czującego a bezsilnego, to i ten wyjątek, jak np. Judym, nie wypadł jako człowiek czynu. Były to słowem sytuacye i charaktery, wzięte z życia pokolenia, z którem autor zrósł się tak organicznie, pokolenia, wyprowadzającego się od tych «smutnych pół-rycerzy żywych» z roku 1863, które widziało mogiły ofiar Murawjewa, przeszło przez gimnazyum rosyjskie, sparaliżowane do szpiku w swej woli, odczuwało patryotyzm tylko jako melancholię i w głębi duszy wyznawało arystokratyzm melancholii, nie lubiący życia w czynnych jego przejawach.

Dlatego pewne zdziwienie budził fakt, że Żeromski pisze powieść historyczną z epoki napoleońskiej, epoki chyba nie depresyi zarówno dla społeczeństw, jak i jednostek.

Ta epoka nie jest ostatecznie tak od nas odległą, jak się to często wydawać może. Dziś jeszcze ludzie, którzy znali działaczy tych czasów, nie są tak bardzo rzadkimi wyjątkami, a w rodzinach, gdzie nić tradycyi nie urwała się nagle, wspomnienia z tej epoki są tak żywe i świeże, jak gdyby uczestnicy epopei napoleońskiej dopiero co zeszli ze sceny. Cała ta generacya, która robiła powstanie roku 1863, była wychowaną jeszcze na bardzo żywej podówczas tradycyi napoleońskiej.

To też i ta chwila dziejowa i ci ludzie, których ona wytwarzała, nie należą dziś jeszcze do jednostek martwych, które historyk odtwarza li tylko z akt i pamiętników. Opowiadania żywe, tradycya bardzo świeża przychodzą tutaj z pomocą nauce historycznej i pozwalają odtworzyć i moment dziejowy, i ludzi, nie tylko w ich rysach głównych, ale nawet w drobnych sytuacyach życia.

Moment był istotnie wyjątkowy w historyi całej Europy: waliły się mocarstwa, uważane dotąd za najpotężniejsze, zmieniały się ustroje społeczne, uważane za niewzruszone, a na gruzach ich powstawały budowle polityczne, przypominające śmiałością swych zarysów czasy Karola Wielkiego. Nic nie było pewnem swego jutra: najpotężniejsi mogli się obudzić bezsilnymi, najsłabszym los mógł wrócić wszystko. Taka chwila dziejowa urabiała specyalne charaktery. Ludzie mniej zwracali uwagi na to, co ich dotąd przedewszystkiem przywiązywało do życia; porwani w ten wir przewrotu dziejowego, w którym każdy mógł dojść do wszystkiego, zatracali poczucie swych zwykłych przyjemności i trosk życia, i szli naprzód na przebój:

męstwo osobiste stało się zjawiskiem aż nazbyt pospolitem. Wyrabiało się pokolenie ludzi surowych, o których margrabina ancien régime'u w powieści Balzaka mówi, że nie umieli kochać delikatnie, którzy istotnie kochali się między jednym a drugim postojem, którzy dzieci swych nie wychowywali w domu, ale na folwarkach. Pragnienie sławy usunęło na plan drugi te uczucia, którym w normalnych warunkach ludzie zawdzięczają głównie szczęście w życiu.

Nas ten prąd zastał, jako zupełnych bankrutów, z których wyśmiewano się nietylko w kołach urzędowych Europy, ale nawet w kołach reprezentujących owoczesną myśl postępową. Gdy Francuzi zobaczyli naszych legionistów na polach bitw we Włoszech, nie chcieli wierzyć, że to są ci Polacy, którzy tak łatwo pozwolili wydrzeć sobie cały kraj. Wyszliśmy zaś z tego okresu niewątpliwie odrodzeni. Dowodem świadectwa, jakie nam wydali nasi przeciwnicy: memoryały Steina o odrodzeniu się społeczeństwa polskiego w dobie napoleońskiej, rozwiązanie sprawy polskiej na kongresie wiedeńskim, tak zasadniczo zmienione w stosunku do sankcyj rozbiorowych r. 1797, dowodem dzieje królestwa kongresowego, historya Poznańskiego w latach 1815 — 1848. Poprostu w r. 1815 historya miała do czynienia z innymi Polakami, niż ci, którzy po rozbiorach umieli tylko szaleć pod Blachą, kupować tytuły austryackie i patrzeć biernie na zniesienie Unii.

Odrodzenie charakteru narodowego objawiło się w tych samych ludziach, którzy bez okresu napoleońskiego byliby pewnie znani tylko jako bohaterowie z pod Blachy, gotowi służyć bez zastrzeżeń w wojskach zaborców. Przeobrażenie się księcia Józefa, ongi bohatera z pod Blachy, a mającego później, zdaniem Davouta, «najwięcej materyału na wielkiego wodza, więcej niż doświadczony Zajączek, więcej niż mądry Dąbrowski«, jest wymownym dowodem tego, jak zdolnymi do odrodzenia byli ludzie tej epoki. Gdybyśmy lepiej znali historyę uwłaszczenia włościan w Poznańskiem, historyę postępu rolnictwa i przemysłu w Królestwie, to możnaby wykazać, do jakich jeszcze dalszych zmian dodatnich była zdolną ta generacya, co z niej wydobyła na widownię chwila dziejowa.

Historya przy badaniach najściślejszych nie jest w stanie nic ująć ludziom tej epoki z tego, co im przyznała tradycya narodowa: są to ludzie prostolinijnego patryotyzmu wojskowego,

który może nie dostarczył im wskazówek postępowania w trudnej epoce Królestwa kongresowego, gdzie niejeden z zasłużonych działaczy Księstwa zeszedł z drogi, wskazanej przez Dąbrowskiego, nie dał im wiary w swe siły i w naród w roku 1830, ale wyniósł ich wysoko ponad przeciętny poziom ludzi, jakich miała Polska w XVIII w.

«Popioły» dowodzą, że Żeromski znaczenie tej chwili dziejowej dla naszego społeczeństwa zrozumiał wybornie, w powieści są rozproszone w tym względzie zdania kapitalne, rozmowy i wynurzenia pierwszorzędnej wartości, że wskażemy tutaj chociażby na rozmowę Dąbrowskiego z księciem Gintułtem o legionach i słowa o potrzebie zahartowania charakteru narodowego w walce, jakiemi pociesza Trepka starego Cedrę. Ale te rozmowy i sceny są, jak gdyby w celu formalnego zadośćuczynienia wymaganiom historyi, tylko wtrącone do powieści, nie powiązane z nią organicznie; autor wypowiada je tylko jakby mimochodem, nie stanowią one punktu wyjścia dla obrazów epoki i osób bohaterów, nie uderzyły one, jednem słowem, wyobraźni powieściopisarza artystycznie, nie zadecydowały o jego sympatyi i zginęły, nieopromienione współczuciem autora, w toku powieści, nie wpływając na jej bieg, który świadczy zawsze o dużej erudycyi historycznej autora, ale nigdy nie świadczy o jego historycznej sympatyi.

«Popioły» obejmują czasy od ostatniego rozbioru aż do początku Wielkiej wojny. We wstępie powieści przewija się przed naszemi oczyma w szeregu obrazów życie na wsi w Galicyi i życie w dworkach drobnej szlachty, szlachty zamożniejszej, wkupującej się świeżo, przy pomocy uczynnego rządu austryackiego, w szeregi arystokracyi, życie magnateryi prawdziwej nareszcie, a dalej obrazy z życia młodzieży akademickiej w Krakowie za rządów austryackich, sceny z pod Blachy i masonerya warszawska.

Niektóre z tych obrazów autor zrobił karykaturami uproszczonemi, np. sceny z Akademii krakowskiej w r. 1802 i życia z pod Blachy. R. 1802 był dla Akademii krakowskiej czasem, gdy Jan Sniadecki, Radwański, Czerwiński i inni epigonowie reformy Kołłątajowskiej z zaciśniętymi zębami bronili polskości Szkoły Głównej i stwarzali tutaj jaki taki, jedyny naówczas, punkt oparcia dla nauki polskiej. Żeromski daje nam tylko profesora metafizyki p. Lody, zadającego uczniom, grają-

cym w karty pod stołem, kwestyę: *Utrum Buacephalus equs Alexandri Magni habuit rationem sufficientem?* oraz ks. A. Trzcińskiego, wyjaśniającego *porositatem corporum* na zjadanej przezeń bułce z kawą. Tak samo nie uwierzymy, żeby pod Blachą bawiono się tylko w ten sposób, jak opisuje Żeromski, bo tak bawićby się można, bez doznania uczucia przesytu, nie dłużej, jak dzień jeden, a przecież bohaterowie Blachy bawić się chyba umieli. Nie zostawia nam wrażenia ludzi żywych ani masonerya, pełna tylko odgłosu formułek i opisu sceneryi, ale nie dająca nam duszy ludzi tej epoki. Jeżeli zaś pewne sceny robią wrażenie życia i barwy, jak np. kulig w Sandomierskiem, to te opisy robią zarazem wrażenie bezhistorycznych, t. j. takich, które zarówno dobrze odnieść można do czasów saskich, jak i do dnia dzisiejszego.

Uderzającemi, zostającemi w pamięci, są w tej części powieści tylko sceny, przypominające dosłownie pomysł, dawniej już zużytkowany przez Żeromskiego w opowiadaniu «O żołnierzu tułaczu», widoczne więc specyalnie w stosunku do historyi uderzający wyobraźnię twórczą autora, t. j. sceny karania chłopa żołnierza z r. 1794, pełnego patryotyzmu wojskowego, tej zdobyczy powstania kościuszkowskiego, przez szlachcica konserwatystę pańszczyźnianego, oraz scena bicia chłopów przez szlachcica wbrew komisarzowi austryackiemu, który właśnie przywiózł rozporządzenia, łagodzące stosunki pańszczyźniane. Nie będziemy twierdzili, że podobne sceny nie były na porządku dziennym naówczas, przecież bicie chłopa na ganku było istotnie taką najbardziej charakterystyczną oznaką przywileju z okresu pańszczyzny, jak prawo wojny za feodalizmu, ale zdaje się, że Żeromski zanadto zapełnia życie szlachty tą przyjemnością, jak gdyby nie było już w niem miejsca na objawy innego rodzaju.

Z kolei przesuwają się przed naszemi oczyma legiony. Autor nie przedstawił nam ich od siebie bezpośrednio, ale przewijają się one, jako jedno z wrażeń podróży włoskiej ks. Gintułta, jednej z najmniej zrozumiałych postaci powieści, człowieka, nie wiadomo po co i na co, włóczącego się za wojskiem i wśród wojny, którą zasadniczo potępia.

Gintult widzi naszych legionistów w postaci ludzi, pomagających rabować dzieła sztuki w Wenecyi, spełniających rolę policyi w Weronie. Czyżby do tego tylko ograniczała się rola

legionów w «Popiołach?« Nie, autor w dalszym ciągu daje nam mimochodem scenę uczenia się oficerów polskich w zestawieniu z hulanką Francuzów, daje kapitalną rozmowę Dąbrowskiego i prześliczną scenę końcową oblężenia Mautui, prawdziwie piękne nareszcie opowiadanie legionisty o San Domingo. Te rzeczy nie zacierają wrażenia tamtych, bo albo są wtrącone do powieści mimochodem, albo utrzymane są w cieniu, a na pierwszy plan wydobywają się wrażenia ks. Gintulta z Wenecyi i Werony, za które nic nas nie wynagradza. Powieściopisarz w tym wypadku nie dał nam legionistów takich, jak ich przedstawia historya, za jakich ich uznaje tradycya, i dla czytelnika jest wątpliwe, czy jego sympatya nie była raczej po stronie ks. Gintulta i jego bezcelowego włóczenia się za szukaniem wrażeń i traktowania legionów li tylko jako jedno ze swych wrażeń, niż tych ludzi, których rolę autor pojął, ale z którymi nie powiązała go uczuciowo nić sympatyi.

Jedną z najpiękniejszych chwil naszych w wieku XIX był schyłek roku 1806. Uczestnicy tej chwili, gdy na starość zabierali się do spisania swych pamiętników, przystępowali do jej opisu z pewnem wzruszeniem, a tej podniosłości nie można odmówić jej nawet wtedy, gdy z dokumentami w ręku kontroluje się opowiadania uczestników. Przeciwnie, widzi się tem wyraźniej, że naprawdę było to jedno z tych obudzeń się narodu, któremi chlubić się można.

I tu stwierdzić wypada, że żaden z ustępów «Popiołów» tak bardzo nie myli perspektywy historycznej, jak właśnie rozdziały poświęcone temu momentowi. Żeromski poprostu nie widzi tej dziejowej chwili. Gdy wieść o Jenie błyskawicznie dobiegła do dalekich zakątków Wołynia, a ochotnicy z Galicyi zgłaszali się do Dąbrowskiego zaraz po jego przybyciu do Poznania, bohaterowie »Popiołów», Cedro i Olbromski, dowiadują się o całej kampanii pruskiej, jakby przypadkowo tylko, od starego legionisty. Autor do tego stopnia ignoruje wpływ chwili, do tego stopnia charakteryzuje społeczeństwo polskie owczesne, jako złożone ze stanów, odczuwających tylko swoje interesy stanowe, że mówi o tem, jak szlachta wielkopolska wysyłała Dąbrowskiemu ludzi najgorszych, jak chłopi zaciągnięci uciekali z szeregów. Moglibyśmy na to odpowiedzieć, że mamy pod ręką dowody, i to nie tylko polskie, ale francuskie, że szlachta wielkopolska spełniła swój obowiązek z wyjątkowym en-

tuzyazmem, że w legii Dąbrowskiego nie było wcale dezercyj, że mieszczanie krakowscy patrzeli na wieszanie ludzi, przedzierających się nad Wartę, tak samo jak Cedro i Olbromski, ale byłby to obowiązek krytyki dzieła historycznego. Tutaj więc tylko stwierdzamy, że autor wyeliminował za nawias entuzyazm chwili, niema go poprostu wcale w «Popiołach». Ta sama historya powtarza się przy opisie roku 1809. I tu historya widzi przenoszenie się prądu odrodzenia narodowego do dzielnicy tak wyjałowionej narodowo, jak Galicya, która nie odczuła prawie wstrząśnień r. 1794 i 1830. Magnaci bez chwili wahania stawiają na kartę swe fortuny, chłopi rzucają pługi na widok ułanów i zaciągają się do szeregów, wojsko oświadcza ks. Józefowi, że się chce bić przed Warszawą z przeważną armią austryacką, że chce maszerować bez spoczynku, aby odebrać Kraków. Nawet chłodny Koźmian pisze o tem z entuzyazmem, nawet u wesołego Fredry te karty pisane są z powagą.

Tego znowu niema w «Popiołach», poprostu niema wcale, choć tyle kart powieści zajmuje rok 1809, choć niektóre sceny opisane są z drobiazgową, chłodną erudycyą.

Autor czasami chce traktować sytuacyę bardzo realistycznie, gdy mówi o tem, że legię naszą nadwiślańską, że ułanów Konopki — gnało w służbę westfalską, francuską nawyknienie do życia kondotyerów, które ich sprowadziło do Hiszpanii. Jest to zupełnie niesprawiedliwe. Mamy listy legionistów, oddartych po powrocie z Włoch od progu kraju, pisane z uczuciem tęsknoty bezgranicznej, mamy raporta francuskie, że legia, że lansyerzy Konopki jednogłośnie oświadczyli się za powrotem do Polski, że w Hiszpanii zawsze mieli tę Polskę w duszy, ale tu znowu musimy stwierdzić tylko fakt.

Czy mamy tutaj tę Polskę w przededniu roku 1812 łaknącą wojny, wyczekującą wiosny «obfitej we zdarzenia nadzieją brzemiennej», tę Polskę, wyniszczoną i biedną, ale tak pełną nadziei i życia? I tego niema w powieści, jesteśmy tak samo w Hiszpanii, jak z legionami byliśmy przedewszystkiem w Wenecyi. «Popioły» nie dają nam poprostu żadnej z tych chwil, którym zawdzięcza swe znaczenie Księstwo Warszawskie, autor nie został poruszony przez żadną z nich.

Jest w powieści tylko jedna karta z epoki napoleońskiej, nakreślona z pewną siłą i dużem uczuciem, pozostająca najdłużej

w pamięci, a tą kartą jest obrona Saragossy. Nie przeczymy, że ten temat mógł zapalić autora, ale dziwimy się, że tylko ten.

Nie dając całkowicie obrazu momentu dziejowego, Żeromski usuwa swych bohaterów z pod jego wpływu i dochodzi w tym kierunku do konsekwencyj co najmniej dziwnych. Nardzewski jakby nic nie wie o ostatnim rozbiorze Rzeczypospolitej, Cedro i Olbromski nic nie wiedzą o Austerlitz, dowiadują się o kampanii pruskiej przypadkowo, a Olbromski nic nie wie o tem, że wojska francuskie przeszły Niemen w r. 1812. Są to poprostu zjawiska niemożliwe, charakteryzują one jednak mocno całą powieść, z jej upodobaniem wyeliminowywania jednostek ze społeczeństwa.

W tych warunkach pukt ciężkości powieści przesuwa się wyłącznie na przedstawienie charakterów działaczy. Należy tu rozróżnić dwa rodzaje osobistości, przedstawionych w powieści: osobistości prawdziwych działaczy historycznych i bohaterów, stworzonych przez autora.

O tem w jaki sposób powieściopisarz traktuje pierwszych, niech wskażą tutaj dwa przykłady — Sułkowskiego i Sokolnickiego.

Sułkowski przedstawiony jest tylko w swej rozmowie z ks. Gintułtem, przyczem zresztą obaj mówią nie do siebie, ale jakby do czytelnika. Można uwierzyć temu, co mówi Sułkowski o swych planach, o swym stosunku do wojny i Napoleona, ale autor druzgoce odrazu stworzoną przez siebie postać, kładąc jej w usta, z powodu wyprawy do Egiptu, marzenia o słyszeniu fal morskich, rozbijanych przez flotę, o spojrzeniu w oczy sfinksa, o wietrze pustyni — słowem marzenia o wrażeniach, podczas gdy trudno uwierzyć, aby Sułkowski, człowiek czynu przedewszystkiem, gdyż inaczej nie byłby tak ocenionym przez Francuzów, mógł marzyć o takich wrażeniach z uczuciem rozbitego człowieka współczesnego.

Drugi obrazek. Sokolnicki idzie zająć stanowisko w Falentach, spieszy się, podniecony tą gorączką wojska polskiego pod Raszynem. Tymczasem autor każe temu człowiekowi odczuwać, jak w jego uszach odbija się przykry szum trzcin i modlić się o śmierć Żółkiewskiego (klęska pod Cecorą nastąpiła z powodu popłochu i ucieczki części wojska polskiego). Ma to być generał Sokolnicki, znany na emigracyi po r. 1794 i za Księstwa ze swej awanturniczej prawie przedsiębiorczości i odwagi.

W ten sam sposób ale zupełnie szkicowo potraktowane są w powieści osoby innych działaczy, jak ks. Józef, Zajączek, Fiszer etc. Jedyny wyjątek dodatni stanowi Dąbrowski, przedstawiony szkicowo, ale z prawdą i siłą i, co najważniejsza, z pewną sympatyą.

Z bohaterów, stworzonych przez autora, niektórzy nie przedstawiają się nam dość jasno i trudno o nich wogóle coś powiedzieć, jak o tym złamanym oficerze r. 1794, Piotrze Olbromskim, dogorywającym na wsi, albo o wspomnianym wyżej ks. Gintułcie, masonie, występującym tak dziwacznie w r. 1809 w czasie obrony Sandomierza.

Głównymi bohaterami są Rafał Olbromski i sympatyczniejszy od niego Krzysztof Cedro. Olbromski ze swemi dziwacznemi przygodami młodości ma być przedstawicielem tej nieokiełznanej młodzieży szlacheckiej, która szalała pod Blachą i dokazywała potem cudów za Napoleona. Nie widzimy w nim atoli żadnego określonego charakteru. Jest to mieszanina jakiejś zupełnej niewrażliwości i obojętności na zjawiska życia, na wielką chwilę dziejową, rozegrywającą się przed jego oczyma z subtelną czasami wrażliwością na odgłosy przyrody, warchoła — z człowiekiem, targanym sprzecznościami i analizującym. Chwila dziejowa nie odbija się na nim wcale. Jest to człowiek, pchany przez zjawiska swego czasu, a nie doznający ich wpływu, nie wkładający w nie swej duszy, traktujący swój udział w r. 1807 i 1809, jak i awanturę w Warszawie; pcha go jakiś fatalizm naprzód tak samo do zwykłych awantur, jak i do udziału w epopei odrodzenia narodu, z którym nic go nie wiąże. Ten człowiek nawet w miłości jest jakiś ponury i bierny, jak w całem swem życiu.

Taki człowiek mógł istnieć i wtedy, jak istnieją tacy i dzisiaj, temu z góry nie można zaprzeczyć, ale można powiedzieć to tylko, że nie ma on nic wspólnego z temi postaciami doby napoleońskiej, o których się wie czy z książek, czy z tradycyi.

Cedro jest, jako charakter, naturalniejszym, bo autor nie chciał z niego robić człowieka czynu i uczynił go łagodnym, melancholijnym chłopcem, sypiącym róże na doncellę w Saragossie, liczącym, że Napoleon na prośbę jego, rannego w Hiszpanii, pójdzie na Rosyę odbudowywać Polskę. Ale i to nie jest postać na podobieństwo ludzi z tej epoki.

Z analizy postaci powieści odnosi się wrażenie depresyi.

Mamy tylko ludzi jakichś bardzo dziwnych, bardzo różnych od tych, o których słyszeliśmy dotąd, że występowali w epoce Napoleońskiej, doprawdy raczej — rozbitków życiowych, gnanych gdzieś przez mętną falę dziejową, która żadnego piętna nie wycisnęła na ich duszy, nie wyrwała im z serca żadnego mężkiego uczucia i nie przechodzą też oni przed nami «pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami», gdy ich autor zatrzymał na progu wielkiej katastrofy światowej roku 1812.

Depresya z chwili dziejowej, depresya z postaci usprawiedliwia tytuł powieści. Są to istotnie «Popioły».

Czy tak było naprawdę? Odpowiedzieliśmy już na to pytanie.

Wielki mistrz chorej duszy, poeta pokolenia pojmującego patryotyzm tylko jako melancholię, dał nam ludzi i epokę napoleońską, widzianą przez pryzmat swych dotychczasowych kreacyi.

Inaczej być nie mogło.

W. T.

CZY SIĘ WYNARADAWIAMY?

II. ZABÓR PRUSKI.

Chcąc przeprowadzić ocenę rozwoju stosunków narodowościowych w dzielnicach zaboru pruskiego w świetle sformułowanej powyżej ogólnej teoryi wynarodowienia, należy metodyczne badanie skierować ku wyjaśnieniu następujących poszczególnych kwestyj:

1) Czy i jakie zachodzą zmiany w rozwoju liczebnym Polaków i Niemców w zaborze pruskim i czy jego rezultatem jest polonizacya, czy germanizacya kraju?

2) Gdzie i w jakiej mierze ten proces się odbywa?

3) Jakie są jego warunki i przyczyny tak pod względem wynarodowienia, jak i wzajemnej odporności?

4) Prognoza na przyszłość.

Dla wyjaśnienia pierwszej i drugiej kwestyi, dotyczącej przedstawienia ilościowych rozmiarów owych zmian, należałoby po sprawdzeniu wiarogodności cyfr porównać cyfry absolutne i procentowe Polaków i Niemców, ustalone przez następujące

po sobie spisy, porównać ilościowy i procentowy wzrost obu narodowości z wzrostem, jakiegoby na podstawie naturalnego i społecznego ruchu ludności spodziewać się należało, i na tej podstawie stwierdzić, czy gdzie i w jakiej mierze odbywa się wynarodowienie nas czy też Niemców. Niestety, badania tego rozciągnąć do większego okresu niepodobna ze względu, że spisy ludności w Prusach co do narodowości polegały w 1861 roku na innej podstawie, aniżeli w 1890 i 1900; w 1861 nie pytano o język ojczysty każdego z osobna człowieka, tak jak było w 1890 i w 1900 r., lecz o język familijny, język «głowy domu»; stąd służba domowa, czeladź, a w małżeństwach mięszanych wszyscy członkowie rodziny zaliczeni zostali do narodowości swej «głowy domu«, względnie ojca. To też temu przypisać należy, że n. p. w Berlinie i w wielu koloniach polskich na obczyźnie nie skonstatowano w r. 1861 ani jednego Polaka. Również dosyć liczną służbę polską w domach niemieckich w zaborze pruskim policzono mylnie jako Niemców. A takich Niemców (*recte* Polaków), biorąc tylko 2—4% w 4 dzielnicach polsko-pruskich, było w 1861 koło 60 tysięcy. Następnie dowolność urzędników zmniejszyła również liczbę Polaków przez to, że liczono, jako Polaków, tylko tych, którzy zupełnie nie znali języka niemieckiego, tak, że nawet posłów polskich (!) do Sejmu pruskiego, jak Niegolewskiego i innych, policzono, jako umiejących również i po niemiecku, do Niemców. Przypuszczenie zaś dra Buzka, że spis na terytoryum czysto polskiem mógł za to ustalić cyfry wyższe Polaków od rzeczywistych, nie wydaje się nam dostatecznie usprawiedliwionem wobec stosunkowo mniej licznych Niemców, zatrudnionych w polskich gospodarstwach i wobec tego, że dowolność urzędników prowadzących spis nie skierowaną była ku zmniejszeniu liczby ich, lecz przeciwnie ku sztucznemu zwiększeniu. Spis więc z 1861 r. podał liczbę Polaków mniejszą od rzeczywistej. Stwierdzenie zaś tego błędu ma dla tego swoje ważne znaczenie, że uważając zgodnie z rzeczywistością spisy z 1861 r., jako wykazujące mniejszą liczbę Polaków, aniżeli ich wówczas było, nie możemy znacznemu przyrostowi polskiej ludności, wykazanemu w 30 lat potem w spisie 1890 r., przypisać realnego, ścisłego znaczenia, przeciwnie należy ów przyrost przyjmować za istotnie mniejszy, niż podany w statystyce wynik z policzenia błędnego mniejszej liczby Polaków w 1861 r.

Za to spisy z r. 1890 i 1900 można już, jako przeprowadzone na jednej i tej samej podstawie, ustalającej język ojczysty (względnie 2 języki ojczyste), z sobą porównywać, jakkolwiek i tu nie możemy iść za zdaniem dra Buzka, uważającego te sprawy za zupełnie ścisłe, szczególnie co do dwujęzycznych, to jest wpisujących jako język ojczysty «polski i niemiecki».

Oprócz nie rzadkich z pewnością wypadków, gdzie Polacy zależni od Niemców wpisywali się lub dali się wpisywać za Niemców (gdzie ludzie nie wypisywali kartek sami), o wiele częstsze zdarzały się wypadki, że tacy zależni Polacy zapisywali się lub zapisali swoich za dwujęzycznych, liczonych osobno, a tem samem zmniejszali liczbę właściwych Polaków jednojęzycznych. Natomiast trudno przypuszczać, ażeby jaki Niemiec wpisał jako język ojczysty «polski i niemiecki». Liczba więc Niemców przez to nie doznała uszczuplenia. Jeszcze co do jednego twierdzenia dra Buzka musimy zrobić zastrzeżenie Mianowicie dr. Buzek uważa cyfrę dwujęzycznych za rodzaj skali postępującej germanizacyi i nią mierzy jej intensywność.

O ile istotnie mówiących tylko po polsku możemy uważać za niewątpliwych Polaków, to jednakże z drugiej strony nie mamy zupełnie pewnej podstawy uważać wszystkich tych, którzy przyznali się do znajomości dwóch języków (polskiego i niemieckiego) jako stale przez nich używanych, za mniej pewnych Polaków, tem mniej za właściwych Niemców. Dr. Buzek zaś zgodnie ze statystyką pruską tylko połowę tej kategoryi dolicza do Polaków, a drugą połowę do Niemców. Dr. Buzek przypuszcza, że ludność pojmowała przy spisie deklaracyę języka ojczystego, jako deklaracyę narodowości, a nie jako języka matki, a wniosek ten wyprowadza z tego, że inaczej liczba dzieci dwujęzycznych odpowiadałaby mniej więcej liczbie matek dwujęzycznych, a tymczasem liczba tych dzieci jest mniejszą. Jest to wniosek logiczny, ale nie odpowiada ściśle temu powszechnie znanemu wśród ludu naszego, szczególnie na Ślązku Górnym, zwyczajowi podawania 2 języków, jeżeli je tylko kto posiadał, dla zadokumentowania swojej wyższości nad Niemcami: ja «poradzę» po polsku i po niemiecku, a szwab tylko po niemiecku. Niepodobna przecież tego dość częstego objawu pewnej próżności brać zawsze tylko za przejaw początkującej germanizacyi, jakkolwiek przyznamy tu wraz z dr. Buzkiem, że powiększenie absolutne i procentowe osób, podają-

cych za ojczysty polski i niemiecki język, w pewnej mierze (w jakiej? trudno statystycznie określić) może znamionować również i intensywność germanizacyi, gdyż istotnie wśród takich osób może się znaleźć i znaczna ilość ulegających już powolnej germanizacyi. Nie należy wszakże tego faktu zbytnio przeceniać.

Zastrzeżenia powyższe uważaliśmy za konieczne poczynić, ażeby udowodnić, że podane poniżej cyfry polskiej ludności musimy uważać za minimalne i faktycznie niższe od rzeczywistych. Wnioski, jakie z tych cyfr wyciągać wypadnie, należy odpowiednio do poczynionych zastrzeżeń zmodyfikować, względnie siłę ich osłabić.

Ażeby módz porównać rozwój liczebny ludności polskiej w ciągu ostatnich 40 lat z rozwojem zarówno całej ludności Prus, jak i w poszczególnych prowincyach, względnie rejencyach, gdzie w znaczniejszej ilości mieszka ludność polska, podajemy poniżej tabelkę, uzupełniwszy ze źródeł urzędowych brakujące dane u dra Buzka:

Rejencya:	w r. 1861		w r. 1890		w r. 1900	
	Polacy	Niemcy	Polacy	Niemcy	Polacy	Niemcy
1. Królewiec	162.976	776.230	183.449	953.711	174.076	1,170.695
2. Gąbin	148.071	439.099	144.247	557.474	124.888	715.925
Razem Prusy I. Wschodnie	311,047	1,215.329	327.696	1,511.185	298.964	1,886.620
3. Gdańsk	132.017	349.467	163.992	424.717	184.775	480.739
4. Kwidzyń	264.766	441.382	329.437	514.832	361.547	535.173
Razem Prusy II. Zachodnie	396.783	790.849	493.429	939.549	546.222	1,015.912
5. Poznań	560.715	389.914	739.974	385.693	809.051	389.201
6. Bygdoszcz	240.806	276.169	313.210	311.572	353.487	335.536
Razem W. Ks. III. Poznańskie	801.521	666.083	1,053.184	697.265	1,162.538	724.737
7. Opole (G. Śl.)	665.865	409.218	934.601	583.428	1,083.410	724.736
8. Wrocław	53.469	1,217.102	54.038	1,534.629	50.106	1,647.613
Razem IV. Ślązk	719.334	1,626.320	988.639	2,118.057	1,133.516	2,372.349
Razem 4 prowincye	2,228.685	4,298.581	2,862,948	5,266.056	3,141.340	5,999.618
Reszta Prus	36.357	11,963.954	115.003	24,526.506	252.793	28,412.891
Razem w Prusach	2,265.042	18,491.220	2,977.951	29,792.562	3,394.133	34,472.509

Na podstawie tej tabelki możemy stwierdzić:

1) Że ludność polska, ogólnie wziąwszy w 4 dzielnicach

polsko-pruskich, absolutnie nie zmniejsza się, lecz wykazuje stale od 1861 r. dość znaczny wzrost, wynoszący od 1861—1890 r. w 30 lat 634.000, czyli 28.4%, a 1890—1900 w 10-leciu 278.000 to jest 9.7%. Ponieważ 28.4% wyraża wzrost za 3 dziesięciolecia (ściśle 29 lat), a 9.7% za jedno, więc możemy wnosić z tego, że przyrost ludności polskiej z ostatnich lat jest trochę większym niż dawniej. Przyrost ten za lata 1861—1890, jak powyżej wskazaliśmy, z powodu niższego obliczenia Polaków w 1861 r. powinniśmy uważać za większy od istotnego, tembardziej więc odbijać od niego będzie przyrost z ostatniego dziesięciolecia. Faktem więc jest, o ile o polską ludność samą dla siebie chodzi, nie w stosunku do Niemców, to liczebnie się nie tylko nie cofa, lecz przeciwnie trochę intensywniej niż dawniej wzrasta. Nie rozstrzyga to jeszcze kwestyi wzajemnego stosunku liczebnego Polaków do Niemców w polskich 4 dzielnicach, gdyż tu dopiero wykazany przyrost ludności niemieckiej mógłby określić, kto zaczyna zdobywać teren, a kto ustępować.

2) Otóż przyrost ludności niemieckiej od 1861—1890 r. wynosił w tychże 4 dzielnicach 967 tysięcy, czyli 22.5%, a od 1890—1900 r. 783 tysiące to jest 14%. Tu znowu z powodu obliczenia wyższej liczby Niemców w 1861 r. przyrost należy trochę podwyższyć, w każdym razie przyrost za dziesięciolecie ostatnie w porównaniu z przyrostem polskiej ludności jest stosunkowo znacznie wyższy, a oprócz tego i w porównaniu z okresem do 1890 r. obecnie szybszy.

Temu większemu przyrostowi ludności niemieckiej wogóle przypisać należy fakt skonstatowany przez dra Buzka, że procent ludności polskiej w stosunku do całej ludności Prus jest obecnie w 1900 r. mniejszym, aniżeli w 1890 r.; z r. 1861 porównać się stosunku tego dla całej ludności Prus nie da, gdyż wówczas obszar państwa pruskiego był znacnie mniejszym, ale w obrębie 4 dzielnic polskich te stosunki można w tym okresie porównywać, gdyż tu żadnych terytoryalnych zmian nie było. Otóż dr. Buzek przytacza, że w r. 1890 stosunek procentowy Polaków do całej ludności Prus wynosił 9.99, a w 1900 r. już tylko 9.84 [1]).

---

[1]) Jeżelibyśmy liczyli jako Polaków także wszystkie te osoby, które podały jako język ojczysty język polski i niemiecki, to procent ludności polskiej wynosiłby w r. 1890 — 10.13%, a w r. 1900 — 10.10%, a więc także mniej.

3) Stwierdziwszy pewne (wprawdzie nieznaczne) cofnięcie się żywiołu polskiego w stosunku do niemieckiej ludności i do całej ludności Prus, należałoby teraz zbadać, czy to osłabienie stosunkowe rozwoju żywiołu polskiego było i jest jednakowem wszędzie, czy też i w poszczególnych prowincyach i w odmiennych okresach czasu dadzą się zauważyć znaczniejsze różnice, wskazujące gdzieś czy to na większą naszą odporność, czy też większe osłabienie. Z powyższej tabelki z porównaniami absolutnych cyfr polskiej i niemieckiej ludności w oddzielnych rejencyach wyprowadzamy następujące zestawienie porównawcze przyrostu Polaków i Niemców:

Rejencya		Przybyło + ubyło — 1861—1890 30 lat		przybyło + ubyło — 1890—1900 10 lat	
		Polacy	Niemcy	Polacy	Niemcy
I. Prusy Wsch.	1. Królewiec	+ 12.5	+ 22.8%	— 5	+ 22.7
	2. Gąbin	— 2.6	+ 27	— 14	+ 29
II. Prusy Zach.	3. Gdańsk	+ 24.2	+ 21.5	+ 12.9	+ 13%
	4. Kwidzyń	+ 24.4	+ 16.6	+ 9.8	+ 4%
III. Ks. Poznań.	5. Poznań	+ 32%	— 1%	+ 9.5	+ 1%
	6. Bydgoszcz	+ 30%	+ 12 9%	+ 12.8	+ 7.9
IV. Śląsk	7. Opole (Sl. Gór.)	+ 40 4	+ 42.5%	+ 16%	+ 24%
	8. Wrocław	+ 1.1	+ 26.1	— 8%	+ 7%

A więc od 1861—1890 widzimy silniejszy stosunkowo wzrost ludności polskiej w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, gdy Niemcy wykazują w Poznańskiem nawet ubytek. Przeciwnie we Wschodnich Prusach i na Śląsku silniejszy jest wzrost Niemców, a nawet w rejencyi Gąbińskiej ubytek polskiej ludności. W ostatniem dziesięcioleciu stosunki trochę się zmieniają na niekorzyść Polaków. Już 3 okręgi rejencyjne (Królewiec, Gąbin i Wrocław) wykazują ubytek polskiej ludności, gdy Niemcy nie mają go nigdzie i nawet w Poznańskiem wykazują po raz pierwszy choć bardzo słaby przyrost. Jedynie w Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich Polacy silniej narastają, aniżeli Niemcy, wszędzie gdzieindziej, a szczególnie na Śląsku Górnym rozwój ich choć znaczny, słabszym jest od niemieckiego.

Zobaczymy zaraz z zestawienia okręgów rejencyjnych według stosunku procentowego obu narodowości do ogólnej ludności, że rozwój ludności polskiej i zdobywanie nawet dla siebie terenu da się zaznaczyć tam, gdzie ludność nasza bar-

dziej zwarta mieszka, a odwrotnie bywa, gdzie jest zmięszaną z liczniejszym obcym żywiołem. Potwierdza to postawione w teoryi wynarodowienia ogólnie zauważone wszędzie zjawisko, że wówczas siła przyciągająca większej masy polskiej względnie niemieckiej występuje w całej pełni.

Rejencya		Na 1.000 osób było Polaków w r. 1861	1890	1900		Na 1.000 osób było Niemców w r. 1861	1890	1900	
I. Prusy Wsch.	1. Królewiec	167.7	156.5	144.6	—	798.5	814.6	828.2	+
	2. Gąbin	214.1	183.4	157.7	—	634.7	709.5	749.5	+
II. Prusy Zach.	3. Gdańsk	284.5	278.3	277.5	—	714	721	721.5	+
	4. Kwidzyń	374.9	390.1	402.8	+	625	610	597	—
III. Ks. Poznań.	5. Poznań	589.8	656.8	675.3	+	409.2	343	324	—
	6. Bydgoszcz	465.8	501.1	513	+	533 2	498	486	—
IV. Ślązk	7. Opole	591.2	592.2	580	—	363	369	386	+
	8. Wrocław	41.8	33.8	29.6	—	994	965	970	+

Zestawienie to nas poucza, że:

1) Ludność polska zdobywa sobie teren i Niemców z niego powoli, ale stale, wypiera w obu rejencyach Ks. Poznańskiego i w rejencyi Kwidzyńskiej w Prusach Zachodnich, to jest tam, gdzie jest najbardziej skupioną i gdzie zajmuje jeszcze silne ekonomiczne stanowisko.

2) Wyjątek stanowi od wieków od Polski oderwany i niemczony wciąż Górny Slązk, gdzie pomimo liczebnej dotąd jeszcze przewagi ludność polska w stosunku do niemieckiej w ostatniem 10-leciu cofnęła się, jakkolwiek przyrost jej tu jest większy, w tym czasie (16%), aniżeli nawet w innych dzielnicach Polskich (Poznańskie 9.8%, Bydgoszcz 12% i t. d.), jednak w porównaniu z przyrostem niemieckim (24%) jest mniejszy.

3) Ludność niemiecka odwrotnie wszędzie zdobywa dalej i coraz bardziej Prusy Wschodnie (obie rejencye) i Ślązk średni (Wrocławska rejencya), gdzie Polacy i absolutnie i stosunkowo nikną.

4) W rejencyi Gdańskiej w Prusach Zachodnich i Polacy i Niemcy prawie utrzymali obecnie dotychczasowe swe stanowiska, co potwierdza prawie równy przyrost w ostatniem dziesięcioleciu (12.9% i 13%).

Przedstawiliśmy w powyższych zestawieniach *ilościowe rozmiary zmian* w rozwoju liczebnym Polaków i Niemców w Zaborze Pruskim wogóle i w oddzielnych jego okręgach. Zmiany te, statystycznie biorąc, mogą być wywołane albo

1) słabszym lub silniejszym przyrostem naturalnym (nadwyżką urodzin nad skonami), albo 2) emigracyą lub immigracyą, albo nakoniec 3) wynarodowieniem żywiołowem lub przymusowem. Każda z tych przyczyn może działać samoistnie lub też wspólnie z innemi. Czemuż więc przypisać zwycięskie posuwanie się żywiołu polskiego w Księstwie Poznańskiem i w części Prus Zachodnich (rejencya Kwidzyńska), a czemu osłabnięcie jego w innych stronach zaboru Pruskiego? Rozpatrzmy te możliwe przyczyny.

Przyrost naturalny ludności polskiej istotnie przewyższa znacznie przyrost naturalny ludności niemieckiej, jak to wykazuje następujące zestawienie ilości urodzin i skonów ludności polskiej i niemieckiej. W przecięciu 1890—1900 przypada, mianowicie:

Na 1.000 osób	urodzin	skonów	przewyżka urodzin
1. U ludności katolickiej Poznańskiego (9/10 polskiej)	45.8	22.8	23.0
2. U ludności katolickiej Prus Zachod. (2/3 polskiej)	46.6	24.9	21.7
3. U ludności katolickiej Opolskiego (2/3 polskiej)	46.6	25.4	21.2
4. U ludności ewangielickiej Poznańskiego (prawie wyłącznie niemieckiej)	35.9	21.3	14.6
5. U ludności ewangielickiej Prus Zachodnich	38.1	23.1	15
6. U ludności całego państwa Pruskiego	37.7	22.1	15.6

Przyrost więc naturalny ludności polskiej z powodu znacznie wyższej płodności polskiej (Polacy 45.8, Niemcy 35.9) jest o 50% wyższy niż u ludności niemieckiej («polskie króliki» kanclerza Bülowa!), może więc powodować i znaczniejszy faktyczny przyrost ludności polskiej w porównaniu z niemiecką w Ks. Poznańskiem i w części Prus Zachodnich (rejencya Kwidzyńska). Gdyby działała tu tylko ta jedna przyczyna wzrostu ludności polskiej, to jest przyrost naturalny, to ludność polska powinnaby daleko bardziej wzrosnąć liczebnie, aniżeli to przy spisie ludności faktycznie skonstatowano, gdyż przyrost faktyczny n. p. w Poznańskiem, skonstatowany przy spisie, wynosił 10%—13% za 10 lat, czyli koło 1% rocznie, przyrost zaś naturalny polskiej ludności też w przecięciu wynosił na 1.000 — 23, czyli na 100 — 2.3, różnica więc znaczna. Jeżeli to nie nastąpiło, to przyczyną może być albo emigracya ludności polskiej, germanizacya, albo obie przyczyny wspólnie. Co do emigracyi, to rozróżniać należy emigracyę do zachodnich prowincyi Niemiec i zamorską. Dr. Buzek niestety nie podaje

nam cyfr co do emigracyi polskiej na zachód Niemiec, gdyż cyfry te nie zostały jeszcze uporządkowane szczegółowo co do okresu 1890—1900. Że jednak prowincye nasze wskutek przewyżki emigracyi nad imigracyą bardzo tracą ludność, to nie ulega wątpliwości. Mamy cyfry z roku 1880 [1]) i 1890: Poznańskie oddało do r. 1880 innym dzielnicom, więcej niż otrzymało, 133 tysiące, a do r. 1890 189 tysięcy, a więc znów więcej, a Prusy Zachodnie do r. 1880 — 123 tys., do 1890 zaś mniej — 105 tysięcy. Słaby rozwój przemysłu w tych dzielnicach pędzi z nich ludność do szukania zarobku w ogniskach przemyslu i na Zachodzie Niemiec bardziej jednak Niemców, niż Polaków. N. p. w Berlinie i Brandenburgii liczono w r. 1890 — 205 tysięcy osób urodzonych w Księztwie i w Prusach Zachodnich — z tego podało się za Polaków tylko 29 tysięcy, w prowincyi Saskiej liczono 126 tysięcy z Poznańskiego, — z tego tylko 22 tysiące Polaków. Ci przybysze byli więc przeważnie Niemcy, a w części Polacy zniemczeni. W emigracyi więc tej wzięła udział ludność polska w mniejszym stopniu, niż niemiecka; emigracya na Zachód wprawdzie wywołała słabszy faktyczny przyrost ludności polskiej, niżby to z przyrostu jej naturalnego wynikało, ale jeszcze bardziej działała na niekorzyść siły liczebnej ludności niemieckiej. Temu to, oprócz wskazanej słabszej płodności niemieckiej, przypisać też należy i słaby przyrost faktyczny Niemców w Poznańskiem i w rejencyi Kwidzyńskiej (Prusy Zach.) (rej. Poznańska za 10 lat 1%, czyli rocznie 0,1%, Kwidzyńska 4% — rocznie 0.4). W rejencyi Gdańskiej (Prusy Zachodnie) drobne cofnięcie się procentu ludności polskiej przypisać należy według dra Buzka trochę silniejszej tu emigracyi ludności polsko-katolickiej. Również w Prusach Wschodnich cyfra ludności polskiej, w 4/5 ewangielickiej, zmalała g ł ó w n i e wskutek emigracyi do prowincyj zachodnich, jak przekonamy się z następującego zestawienia: Na 298 tysięcy ludności polskiej jest obecnie w 1900 r. ewangielików Polaków 230 tysięcy, to jest 80%, katolików Polaków 65 tysięcy, to jest 20%. Tej ludności ewangielickiej polskiej w 1890 r. było o 30 tysięcy więcej — 260 tysięcy. Cóż się z nią stało? Otóż ewangielików Polaków na emigracyi było w 1890 r. tylko około 20 tysięcy, a obe-

[1]) Dr. Marchlewski: Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach Zaboru pruskiego str. 12, 13, 30, 31, 32.

cnie w 1900 r. jest 43 tysięcy — znaczna część tych ewangelików polskich na obczyźnie pochodzi prawdopodobnie głównie z Prus Wschodnich. Co do Górnego Śląska, to brak ścisłych cyfr dotyczących emigracyi, jednakże i tu emigracya na Zachód porobiła w ludności polskiej znaczne szczerby. Emigracya zamorska odgrywa wogóle w tem mniejszą rolę. Według obliczeń dra Buzka za całe 10-lecie (1890—1900) wyemigrowało za morze Polaków koło 90 tysięcy (80 tysięcy katolików, 10 tys. ewangelików), Niemców o wiele mniej. Oczywiście nie należy emigracyi czy to wewnętrznej, czy zamorskiej przypisywać jedynie decydującego wszędzie znaczenia w zmianie rozwoju liczebnego polskiej i niemieckiej ludności, jakkolwiek postępująca polonizacya Poznańskiego i części Prus Zach. większej emigracyi wewnętrznej Niemców głównie przypisywaną być powinna. Odwrotnie też w innych dzielnicach tam, gdzie ludność nasza maleje, wychodztwo nasze jest tego w części przyczyną, ale nie jedyną, gdyż straty polskiego żywiołu przenoszą znacznie liczbę emigrujących Polaków. Musi więc tu działać inny czynnik zmian rozwoju liczebnego polskiej ludności, a jest nim niewątpliwie g e r m a n i z a c y a. Rozmiary jej można skreślić dla katolików i ewangelików Polaków, porównując przyrost naturalny, jaki na podstawie przewyżki urodzin nad skonami powinien był nastąpić, z przyrostem faktycznym, skonstatowanym przez spis po potrąceniu emigracyi zamorskiej. Emigracyi wewnętrznej nie uwzględnia się, gdyż tutaj rozpatruje się ogólnie cyfry dla ludności polskiej w całem państwie, w których mieści się i liczba całego wychodztwa naszego do zachodnich prowincyj niemieckich. Poszczególne centra germanizacyi rozpatrzymy potem.

O ogólnych rozmiarach germanizacyi przekonamy się z następującego zestawienia:

	R. 1890	R. 1900	Przyrost naturalny powinien wynosić	Emigracya zamorska	Przyrost faktyczny powinien wynosić	a wynosi	Germanizacyi uległo
Polacy katolicy	2,613.446	3,046.112	583.000	80.000	503.000	432.000+	70.000
Ewangelicy	359.019	340.641	35.900	10.000	25.900	18.000—	43.000
						Razem	113.000

Niestosunkowo większem jest wynarodowienie ludności ewangielickiej polskiej, aniżeli katolickiej — pierwsze wynosi

12% stanu ewangelików Polaków z r. 1890, a drugie zaledwie 3%. Nietrudno teraz odnaleźć i główne centra germanizacyi, pamiętając z poprzedniego, gdzie i jak działa emigracya wewnętrzna i jak wpływa na rozwój liczebny większy przyrost naturalny ludności polskiej, i nakoniec biorąc pod uwagę większy procent dwujęzycznych.

1) W Ks.. Poznańskie (w obu rejencyach) wykazuje co do katolików (a stanowią oni 9/10 polskiej tamtejszej ludności) minimalny procent dwujęzycznych — 0.86, — jest ich 9 tysięcy tylko; co do ewangelików Polaków, chociaż większy — 8.6%, ale w porównaniu z innemi dzielnicami także mniejszy i liczebnie słaby — 1.200 ludzi. Sporadyczna germanizacya, jeżeli gdzieniegdzie porywa, to bardzo nieliczne ofiary i jest wobec stałej ogólnej polonizacyi tej części kraju, spowodowanej znacznie silniejszą emigracyą niemiecką i większą płodnością polską, znikomą bez żadnego znaczenia.

2) To samo, jakkolwiek w słabszym stopniu, odbywa się w Prusach Zachodnich, szczególnie tu procent dwujęzycznych katolików jest trochę większym (2.8%) — 15 tysięcy; działa też hamująco na rozwój naszego żywiołu trochę silniejsza emigracya ludności polsko-katolickiej, jak również dość intensywna germanizacya garści polskich ewangelików, rozproszonych w diasporze niemieckiej, wyrażająca się w najwyższym dla ewangelików procencie dwujęzycznych (37.3%), jest ich koło 2 tysięcy; jednakże i tu silniejszy przyrost ludności polskiej i silniejszy odpływ niemieckiej na Zachód nie daje, szczególnie w rejencyi Kwidzyńskiej, powodu do żadnych obaw — przeciwnie polskość, pomimo wskazanych nielicznych na ogół wypadków germanizacyi, wzmaga się.

3) Na Ślązku Górnym jest już gorzej. Procent 2 językowych katolików i ewangelików jeszcze większy (6.1% i 8.6), 66 tysięcy katolików i 3 tysiące ewangelików znajduje się w stadyum grożącem w znacznej części germanizacyą, ale ubytku absolutnego Polaków tu też niema, przeciwnie wzrost stosunkowo silniejszy, niż Polaków innych dzielnic, lecz wobec słabszej emigracyi niemieckiej i stosunkowo częstszej germanizacyi, jeszcze dotąd ustępuje rozwojowi niemieckiej ludności. Rozwój przemysłu na Ślązku nie daje powodu niemieckiej ludności do szukania zarobków i bytu na zachodzie Niemiec. Wzrost świa-

domości narodowej jest tu znaczny i upoważnia do nadziei, że germanizacya powstrzymaną zostanie.

4) Najgorzej jest w Prusach Wschodnich i koło Wrocławia na Ślązku. Nieliczna ludność polska, topniejąca i tak z powodu silniejszej swojej emigracyi, jeszcze bardziej tu germanizuje się — procent dwujęzycznych jest tu jeszcze większy (katolików 7%, ewangielików 8.6) — 4 tysiące katolików i 20 tysięcy ewangielików jest na drodze do zniemczenia. Ludność tu, odmienna wyznaniem, oderwana oddawna od wspólnego życia polskiego, nie wykazuje dotąd widocznej odporności narodowej.

5) Najintensywniej występuje germanizacya na obczyznie w prowincyach Zachodnich, tak katolicka jak i ewangielicka, jednakże i tu w niejednakowej mierze, jak to wykazuje następujące zestawienie co do procentu dwujęzycznych.

Liczba osób narodowości polskiej w 1900 r.

	jedno-językcznych	dwu-językcznych	razem	procent dwu-językcznych
Berlin	16.378	10.948	27.326	40%
Westfalia	100.372	10.564	110.936	9.53
Reszta Prus na Zachodzie	114.213	22.148	136.361	16.25
Inne państwa Rzeszy Niemieckiej (Saksonia, Bawarya i t. d.)	23.002	5.415	28.417	19%
W tem Brema	608	708	1.272	55.7%

Największą więc jest germanizacya w Berlinie, następnie w wielkich miastach w ogólności (jak Brema), a potem tam, gdzie ludność polska żyje w rozproszeniu. Najmniejsza zaś w Westfalii i w Nadreńskiej prowincyi, gdzie ludność nasza nie tylko kupą mieszka, ale i wspólnie pracuje: w 5 obwodach mianowicie Gelsenkirchen, Bochum, Dortmund, Essen i Recklinghausen przy spisie 1900 r. policzono 104 tysiące Polaków, którzy w niektórych gminach stanowią 1/4—1/3 mieszkańców. To też to skupienie Polaków chroni ich i w tych koloniach od większej germanizacyi, której wszakże też podlegają.

T. Gierałtowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z CAŁEJ POLSKI.

Emigracya ludności z Galicyi zachodniej do wschodniej. Dotychczasowa rola kolonizacyi polskiej w Galicyi wschodniej. Emigracya osadników niemieckich. Kolonizacya i parcelacya w zaborze pruskim. Akcya rządowa przeciw towarzystwom gospodarczym polskim. Bank włościański w Królestwie.

Dużo się mówi i pisze nawet o kolonizacyi w Galicyi wschodniej, o jej zadaniach i konieczności jej uregulowania. Zwłaszcza gazety ruskie gwałtują z powodu rzekomego «napływu Mazurów na Ruś».

W rzeczywistości sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Kolonizacya polska w Galicyi wschodniej istnieje wprawdzie, ale jest dorywczą, bezplanową i liczebnie słabą. Świadczy o tem praktyka instytucyi parcelacyjnych.

W wyjątkowych tylko wypadkach można rozparcelować majątek większy w Galicyi wschodniej pomiędzy kolonistów polskich. Udają się takie parcelacye najczęściej księżom obrządku łacińskiego, występującym w roli prowadzących je na własne ryzyko przedsiębiorców i nie goniącym za zyskiem. Zdarza się nawet, że przeprowadzenie takiej parcelacyi jest połączone z ofiarami materyalnemi. Zwyczajni przedsiębiorcy, parcelujący dla zysku, i Bank parcelacyjny we Lwowie nie chcą i nie mogą podejmować się kolonizacyi. A nie mogą dla tego, że nie ma żadnej organizacyi przesiedlań, nie ma zaś organizacyi dla tego, że nie ma w dostatecznej ilości materyału emigracyjnego, ludzi, którzy chcą przenieść się z Galicyi zachodniej do wschodniej i tam nabyć ziemię.

Emigracya z zachodniej części kraju do wschodniej jest stosunkowo nieznaczną, jak to świeżo wykazał dr. Z. Pazdro na podstawie rezultatów ostatniego spisu ludności w r. 1900. Liczba osób, urodzonych w Galicyi zachodniej a zamieszkałych w chwili spisu w Galicyi wschodniej, wynosiła 83.938 czyli w stosunku do ogółu ludności tej części kraju (4,814.171) zaledwie 1.74%. Ponieważ w r. 1890 było na wschodzie urodzonych w zachodniej części kraju 64.108, właściwie więc w ciągu lat 10 przesiedliło się zaledwie 19.830.

Dodać trzeba, że z Galicyi wschodniej odpływa znowu ludność do zachodniej. W tej ostatniej było w r. 1900 — 39.838 osób urodzonych w powiatach wschodniej części. Przewyżka przeto imigracyi do Galicyi wschodniej wynosi 44.100 osób.

Emigracya z Galicyi zachodniej do wschodniej nie ma na ogół charakteru kolonizacyjnego, z wyjątkiem chyba powiatów pogranicznych. Najwięcej stosunkowo urodzonych w Galicyi zachodniej, bo około 9% ogólnej liczby mieszkańców, liczyło miasto Lwów. Znaczną liczbę, bo 8.897 i 7.692 wykazują powiaty jarosławski i przemyski, co się jednak tłomaczy w części silnymi w miastach powiatowych garnizonami wojskowymi. Z innych powiatów Drohobycz (4.108) i Nadwórna (2.348) ściągają ludność Galicyi zachodniej kopalniami nafty, Stryj (2.322) przemysłem drzewnym. Stanisławów, wykazujący sporą liczbę imigrantów, bo 3.231 jest dużem miastem i siedzibą dyrekcyi i warsztatów kolejowych. Cieszanów (2.104) i Sanok (2.738), mają imigracyę przeważnie rolniczą, ale są powiatami pogranicznymi. Z pozostałych powiatów Galicyi wschodniej 15 wykazuje od 1.000 do 2.000 imigrantów, zaś 24 niżej 1.000.

Cyfry wyżej przytoczone przekonywają nas, że imigracya z Galicyi zachodniej do wschodniej nie może mieć poważnego wpływu na układ stosunków narodowościowych w Galicyi wschodniej. Ten ogólny wywód potwierdzają fakty szczegółowe. We Lwowie liczba urodzonych w Galicyi zachodniej wzrosła od r. 1890 do 1900 o 2.947 osób, czyli o 28%, natomiast w tym samym czasie procent ludności rzymsko-katolickiej w mieście spadł z 52.59 na 51.66%. To samo widzimy w powiatach w dorzeczu Sanu: liczba przesiedlonych wzrosła o 3 175 osób, czyli 31%, natomiast procent ludności rzymsko-katolickiej spadł z 41.46 na 38.17%. W powiecie nadworniańskim, gdzie liczba imigrantów jest stosunkowo bardzo wysoką, zmniejszył się w ostatnim dziesięcioleciu procent Polaków, chociaż wzrósł procent katolików rzymskich.

Prawda, że w ostatniem dziesięcioleciu wzrósł na ogół i stosunkowo dosyć znacznie procent ludności rzymsko-katolickiej w Galicyi wschodniej (z 22.60 na 23.60), a zwłaszcza procent przyznających się do narodowości polskiej. Ale imigracya nie wywarła żadnego wpływu na ten fakt. Ma on zupełnie inne, stwierdzone statystycznie przyczyny. Naprzód zmniejszył się procent żydów z 13.59 na 12.86, przez co podniósł się procent obu wyznań chrześcijańskich. Powtóre ludność polska, rzymsko-katolicka daje większy przyrost naturalny (154 na tysiąc w ciągu dziesięciolecia) niż ludność ruska (141 na tysiąc).

Wreszcie w okresie od 1890 do 1900 była dosyć silna emigracya do Brazylii i Kanady, przeważnie ludności ruskiej.

Zwiększanie się procentu przyznających się do narodowości polskiej oprócz wyżej zaznaczonych ma inną jeszcze przyczynę, mianowicie polonizacyę ludności żydowskiej, a w pewnej mierze i ruskiej.

Galicya zachodnia daje bardzo liczną emigracyę (od roku 1890 do 1900 z górą 169.000 ludzi), ale wschodnia część kraju nie jest i nie może być w dzisiejszych warunkach rezerwoarem dla odpływu chociażby poważnej części tej emigracyi. Do Galicyi wschodniej w objętem statystyką dziesięcioleciu przesiedliło się zaledwie 19.830 osób, czyli 11.7% emigrantów zachodnio-galicyjskich.

Jak już mówiłem, nie można się spodziewać poważnego wzrostu emigracyi rolniczej z Galicyi zachodniej do wschodniej. Powiaty rolnicze mają na ogół najmniejszy procent imigrantów. Natomiast przytoczone wyżej fakty wskazują, że rozwój przemysłu fabrycznego i górniczego ściąga w znacznej liczbie ludność z Galicyi zachodniej. Więc uprzemysłowienie kraju może się z czasem skuteczniej przyczynić do wzmocnienia żywiołu polskiego w Galicyi wschodniej, niż kolonizacya rolnicza. Ta bez odpowiedniej, zorganizowanej i planowo prowadzonej akcyi nie rozwinie się nigdy w szerszych rozmiarach.

Do podjęcia takiej akcyi, mogłaby nastręczyć sposobność pilna i dosyć ważna sprawa wykupu gruntów po opuszczających coraz częściej Galicyę kolonistach niemieckich. Prusacy prowadzą energicznie agitacyę, mającą na celu przesiedlanie się kolonistów niemieckich z Galicyi do ziem polskich zaboru pruskiego. Jak twierdzi *Gazeta Narodowa* w r. ub. wyemigrowało z Galicyi 370 rodzin kolonistów niemieckich. W r. b. emigracya będzie bodaj silniejszą, jak wnosić można z liczby wystawionych na sprzedaż gospodarstw kolonistów niemieckich w powiatach kołomyjskim, śniatyńskim, stryjskim, lwowskim i innych. Dotychczas grunta kolonistów niemieckich po stosunkowo nizkiej cenie przechodzą w ręce ruskie, nierzadko w ręce żydowskie. Polacy nabywają je w wyjątkowych wypadkach. Rusini utrzymują wykazy wystawianych na sprzedaż gruntów, mają na ten cel fundusze, otrzymali nawet podobno znaczne zasiłki z zaboru rosyjskiego. Ze strony polskiej nic się nie robi. Apel do Banku krajowego i Banku parcelacyjnego nie wiele

pomoże. Bank krajowy tak się lęka posądzenia o szowinizm, że bodaj gorliwiej popiera parcelacyę ruską niż polską, a Bank parcelacyjny nie ma odpowiednich funduszów i nie może żadnej akcyi kolonizacyjnej prowadzić.

Dla zorganizowania kolonizacyi rolniczej, bądź co bądź najważniejszej w sprawie wzmocnienia żywiołu polskiego, koniecznem jest, jak już nieraz wykazywałem, stworzenie odrębnej instytucyi, rozporządzającej odpowiednim a dość znacznym kapitałem. Mówiono niedawno o powstaniu takiej instytucyi p. n. Banku ziemskiego, ale bodaj czy projekt dojdzie do skutku, czy inicyatorowie znajdą w kraju dostateczny kapitał. Możnaby jednak znaleźć kapitały przy odpowiedniej agitacyi w zaborze rosyjskim, tembardziej, że parcelacya w Galicyi, porządnie i uczciwie prowadzona, jak dotychczasowe przykłady pouczają, znakomicie się opłaca, nawet gdy prowadząca ją instytucya operuje przeważnie pożyczanym kapitałem.

Że w społeczeństwie naszem w Galicyi wschodniej potrzeba akcyi kolonizacyjnej jest dziś odczuwaną, świadczą próby tworzenia na mniejszą skalę instytucyi dla popierania osadnictwa polskiego. Świeżo właśnie w Złoczowie powstaje «Polski Bank parcelacyjny», który ma parcelować majątki i sprzedawać grunta tylko Polakom. Takie mniejsze instytucye nie usuwają potrzeby założenia wielkiego Banku ziemskiego i nie będą przeszkadzać jego zadaniom, owszem w przeprowadzaniu ich mogą mu nawet pomagać jako organy pośredniczące, przy rozwoju parcelacyi i kolonizacyi konieczne.

Sprawa kolonizacyi wewnętrznej i parcelacyi, tak ważna dla nas w walce o ziemię, o utrzymanie w naszej mocy terytoryum narodowego najlepiej się przedstawia w zaborze pruskim, chociaż tam właśnie zadania, które podejmować powinny władze autonomiczne lub państwowe, spełnia samo społeczeństwo za pomocą instytucyi prywatnych, ale mających charakter zbiorowy. Państwo zwalcza nawet bezpośrednio instytucye polskie lub utrudnia ich działalność a jednocześnie popiera i prowadzi samo w wielkich rozmiarach celowo zorganizowaną kolonizacyę niemiecką.

W tej nierównej walce o ziemię pomiędzy społeczeństwem polskiem a rządem pruskim, stanowczemi zwycięztwami chlubić się nie możemy, nie pozwala bowiem na nie szczupłość naszych sił i środków materyalnych. ale utrzymujemy stosunek dotych-

czasowy posiadania ziemi. A nawet, jeżeli wierzyć można w tym wypadku urzędowym źródłom niemieckim, bodaj czy nie zmyślającym tendencyjnie naszych postępów, własność polska w stosunku do niemieckiej wzrasta. Według pism hakatystowskich obszar własności polskiej w zaborze pruskim, zapewne tylko w Poznańskiem i Prusiech zachodnich, zwiększył się od r. 1897 o 160.000 morgów, czyli około 40.000 hektarów. Gdyby nawet ta cyfra była prawdziwą, to zaznaczyć trzeba, że nawet w Poznańskiem mamy w swem ręku mniej już niż połowę ziemi, a mianowicie:

	Własność większa:	Własność mniejsza:
Polska . . .	567.000 h.	655.000 h.
Niemiecka . .	1,146.000 h.	440.000 h.

czyli ogółem własność polska zajmuje obszar 1,222.000 hektarów, zaś niemiecka 1,586.000.

Nasze instytucye kolonizacyjne i parcelacyjne rozporządzają bardzo skromnym kapitałem. Najpoważniejsza z nich, Bank ziemski ma kapitału zakładowego 3 miliony marek, wobec 250 milionów komisyi kolonizacyjnej. Wszystkie jednak nasze instytucye parcelacyjne rozporządzają stosunkowo bardzo znacznemi sumami wkładek i depozytów. Niezbyt liczne, ale na ogół doskonale prowadzone polskie spółki zarobkowe i gospodarcze, mają, jak twierdzą Niemcy, z górą 50 milionów wkładek oszczędnościowych. Te oszczędności są podstawą rozwoju polskiej własności drobnej i polskiego przemysłu.

Na nasze stowarzyszenia kredytowe hakatyści oddawna kują zamachy. Powolny ich życzeniom rząd pruski rozkazał niedawno wszystkim urzędnikom i nauczycielom, żeby wystąpili z polskich towarzystw zarobkowych i gospodarczych, wymówili swe udziały i wycofali wkładki. Dla naszych towarzystw to rozporządzenie nie jest groźnem, wkładki członków, którzy teraz będą musieli wystąpić, stanowią stosunkowo nieznaczną sumę, podobnie jak ich udziały, natomiast, występując z towarzystw polskich urzędnicy będą musieli spłacić zaciągane w nich pożyczki.

Natomiast rozporządzenie rządowe miało inny, niespodziewany skutek. Społeczeństwo polskie było przeciwnem przenoszeniu walki narodowej na pole ekonomiczne. Skoro jednak rząd zmusza nas do walki i na tem polu, musimy ją przyjąć. Prasa zaczęła nawoływać ogół do lokowania kapitałów wyłącznie

w instytucyach polskich, w których zresztą lokacya jest nawet korzystniejszą i to nawoływanie odniosło pożądany skutek. Rozporządzenie rządowe nietylko nie osłabiło naszych instytucyj finansowych, ale owszem, wzmocniło je.

Gdy jeden środek zawiódł, rząd pruski próbuje innych. *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, organ kanclerza Buelowa, wystąpiła niedawno z artykułem, zwróconym w ogóle przeciw towarzystwom polskim, a specyalnie przeciw bankom ludowym na Górnym Ślązku, które w ostatnich latach w coraz większej liczbie powstawać zaczęły i znakomicie się rozwijają.

»Tamtejsza wielkopolska propaganda — pisze *Nordd. Allg. Ztg.* — zajmuje się z ożywionym zapałem zakładaniem polskich banków ludowych. Usiłują one zagarnąć dla siebie kredyt średnich stanów zarobkujących w mieście i na wsi: mniejszych rzemieślników, kupców i przemysłowców, chłopów i klas robotniczych, aby w ten sposób wytworzoną zależność gospodarczą zużyć jako nadzwyczaj skuteczny sposób walki na polu społeczno-politycznem i narodowo-polskiem. Samo powstanie banków polskich ma w sobie jądro agitatorskie. Dla potrzeb kredytowych ludności górnoślązkiej nie są one potrzebne. Na Górnym Ślązku istnieje szeroko rozgałęziona i wybornie zorganizowana sieć instytucyj pożyczkowych przez Niemców kierowanych, które atoli są przystępne dla ludności po polsku mówiącej, i z których ona rzeczywiście obficie czerpie. Dalsze wydoskonalenie niemieckich spółek będzie wdzięcznem polem dla działalności Niemców na Górnym Ślązku z udziałem urzędników państwowych, aby w współzawodnictwie z bankami polskimi poskramiać nadużycia kredytu osobistego do narodowo-polskiej agitacyi i aby wzmocnić wpływ Niemców na szerokie masy ludności«.

Niemcy mają na Górnym Ślązku wcale liczne instytucye finansowe. Powstanie nowych instytucyj jest niepotrzebnem, bo osłabi tylko istniejące, a udział urzędników państwowych, ani nowych kapitałów nie wytworzy, ani gospodarki finansowej nie udoskonali. Nie ma również obawy, żeby ludność polska opuściła swoje banki. Przeciwnie, jeszcze gorliwiej teraz popierać je będzie.

Na Górnym Ślązku rozwój ruchu kooperacyjnego wśród ludności polskiej powinien stać się pierwszym, głównym punktem naszego programu pracy narodowej. Warunki miejscowe tak się ułożyły, że tylko rozwój kooperacyi może stać się dźwignią postępu ekonomicznego ludności. Kooperacya nie powinna się tam ograniczać do instytucyi kredytowych, ale objąć wszystkie dziedziny działalności gospodarczej. Spółki parcelacyjne, spółki budowlane, towarzystwa spożywcze i wytwórcze mogą i powinny powstawać w znacznej liczbie. Stworzenie obok organizacyi politycznej organizacyi ekonomicznej ludności polskiej

na Górnym Ślązku jest ważnem i pilnem zadaniem. Od kilku lat dopiero zaczęła się rozwijać praca w tym kierunku, ale już wydała widoczne rezultaty, skoro Niemcy zwracają na nią uwagę i poważnie zaczynają się niepokoić.

W ostatnim numerze *Polaka* znajdujemy ciekawy artykuł, rzucający światło na działalność Banku włościańskiego w Królestwie.

Kilkanaście lat temu rząd postanowił rozszerzyć na Królestwo i kraj Zabrany działalność Banku włościańskiego, pierwotnie przeznaczonego wyłącznie dla Rosyi właściwej. Zadaniem Banku jest udzielanie włościanom taniego (w pojęciu rosyjskiem) umarzalnego kredytu na kupno ziemi. W zastosowaniu do warunków miejscowych zmieniono trochę ustawę Banku, mianowicie podniesiono normę pożyczek z 75 do 90% szacunku ziemi i utrudniono, a raczej uniemożliwiono Polakom kupowanie gruntów w tych powiatach, w których mieszkają byli unici, chociaż ci ostatni są mniej więcej w równej liczbie zmieszani z ludnością polską i katolicką.

Działalność Banku włościańskiego w Królestwie zaczęła się w tych czasach, kiedy rząd rosyjski starał się jeszcze o zjednanie sobie chłopów polskich, łudząc się nadzieją, że ich łatwo na Moskali przerobi. Kierownicy Banku należeli do pokolenia tych carskich demagogów, którzy »urządzali« stosunki społeczne i agrarne w Królestwie po powstaniu 1863 r.

Z początku działalność Banku rozwijała się słabo. Chłopi nie mieli zaufania do instytucyi rządowej, w dodatku nieudolnie zorganizowanej, nie zdolnej do szybkiego i z konieczności samoistnego działania. Uciążliwe i przewlekłe formalności, żądanie w wielu wypadkach, żeby nabywcy tworzyli spółki, oparte na wzajemnej poręce, odstręczały włościan i szlachtę. Ale chłop zawsze był chciwy na ziemię, a szlachta, gdy przyszły ciężkie dla rolnictwa czasy, chciała pozbyć się zadłużonych lub nie dających odpowiedniego dochodu majątków, na tworzenie zaś prywatnych instytucyi parcelacyjnych i kredytowych rząd nie pozwalał — zaczęto więc coraz częściej zwracać się do Banku włościańskiego. Dawał on nabywcom kredyt dosyć wprawdzie drogi, bo na 6%, ale chłop i taką normę procentową wytrzyma, a właścicielom ziemskim ułatwiał sprzedaż ziemi po dobrej cenie.

Po kilku latach działalność Banku zaczęła się rozwijać

coraz lepiej i nie można powiedzieć, żeby nie była pożyteczną. Bank postępował dosyć ostrożnie i chociaż dawał kredyt do wysokości 90% swego szacunku, co często odpowiadało 90% ceny kupna, włościanie płacili regularnie raty. Podczas gdy w Rosyi bardzo często zdarzało się, że Bank włościański musiał wystawiać na sprzedaż grunta niewypłatnych dłużników, w Królestwie podobne wypadki zdarzały się chyba wyjątkowo.

Rychło jednak psuć się coś zaczęło w działalności Banku. Coraz częściej mówiono, że dzięki łapówce można uzyskać bardzo wysokie oszacowanie sprzedawanej ziemi. Chłopi płacili wygórowane ceny, ale nieraz trudno było im płacić raty.

Już kilkanaście lat temu w kołach polskich, uznających doniosłość parcelacyi i życzliwie dla ludu wiejskiego usposobionych, zauważono, że chłopi, kupując z wolnej ręki ziemię przy pomocy Banku włościańskiego, płacą bardzo wysokie ceny, podówczas gdy na licytacyach spekulanci bardzo tanio nabywają majątki ziemskie. Zdarzało się nieraz, że te same majątki odprzedawali następnie spekulanci chłopom po podwójnej cenie. Powstała więc myśl założenia instytucyi prywatnej, obywatelskiej, nie obliczonej na wysokie zyski, któraby na własne ryzyko nabywała majątki i parcelowała je następnie, ułatwiając nabywcom kredyt w Banku włościańskim, oraz wogóle pośredniczyła przy parcelacyach i usunęła pośrednictwo wyzyskujących włościan faktorów.

Łudzono się, że Bank włościański poprze starania o uzyskanie pozwolenia na taką instytucyę, która, nie współzawodnicząc z nim wcale, służyłaby tym samym celom i ułatwiała im zadanie. Rzeczywiście jeden z głównych dygnitarzy Banku włościańskiego, p. Kostromitinow, bardzo pochwalił projekt i ... skorzystawszy z memoryału, uzasadniającego podanie o koncesyę, opracował projekt, żeby Bank włościański w Królestwie miał prawo nabywania majątków. Takie prawo Bank włościański w Królestwie otrzymał, a w jaki sposób je wyzyskał opowiada artykuł w *Polaku.*

Naprzód sprobował sprzedawać ziemię Moskalom, ale, ma się rozumieć, próby nigdy się nie udały. Wówczas urzędnicy Banku włościańskiego zrezygnowali z działalności patryotyczno-politycznej, która w państwie rosyjskiem bezpośrednio lub pośrednio doskonale się opłaca, i zaczęli w inny sposób robić interesy.

Tranzakcye parcelacyjne odbywają się w ten sposób. Nabywcy wchodzą w porozumienie z właścicielem majątku, umawiają się o cenę i przedstawiają umowę Bankowi, który przez urzędników swoich szacuje ziemię i określa wysokość pożyczki. Nie obywa się przy tej tranzakcyi bez pośrednika, z reguły żyda, lub zbankrutowanego szlachcica. Taki pośrednik jest agentem sprzedawcy, namawia chłopów, żeby się godzili na wysoką, często niemożliwie wyszrubowaną cenę, a następnie za pomocą łapówki lub dopuszczenia do udziału w spekulacyi uzyskuje w Banku zatwierdzenie wygórowanego szacunku i odpowiedniej do niego pożyczki.

Zrazu wszyscy są zadowoleni — właściciel, bo dobrze sprzedał, agent, bo się obłowił, urzędnik, bo wziął sutą łapówkę, chłop, bo się dorwał upragnionej ziemi. Ale chłop niedługo cieszy się gruntem. Jeżeli jest względnie zamożny, to się zapracowuje, żeby zapłacić ratę, albo, gdy oszczędności nie ma, wpada w długi, wyniszcza ziemię, wreszcie rzuca ją i idzie na zarobki do Niemiec lub do Ameryki.

Lepiej jeszcze wychodzą urzędnicy, jeżeli Bank sam kupuje majątek i parceluje następnie pomiędzy włościan. Wówczas urzędnicy biorą naprzód łapówki od właściciela, żeby Bank dobrze za majątek zapłacił, następnie wyprzedają inwentarz żywy i martwy, najlepiej zaś wychodzą na tem, gdy przez lat kilka administrują majątkiem.

Cena w taki sposób nabytego majątku niepomiernie wzrasta. Wówczas agenci wynajdują chłopów, gotowych i taką cenę zapłacić. Ma się rozumieć, ci nabywcy bardzo prędko rzucają grunta i idą w świat z torbami. Ale że część ceny kupna, najmniej 10°/₀ gotówką zapłacili, więc można dalej po wywłaszczeniu ich prowadzić spekulacyę.

Autor artykułu w *Polaku* przytacza trzy przykłady z gubernii płockiej. Bank włościański nabył tam trzy majątki: Koziczyn od Moskali Kawelinów, Słupsk od Polaka Grodeckiego i Wierzbowiec od żyda Woldenberga.

W Koziczynie urzędnicy Banku sprzedali las, zniszczyli majątek i dopiero wtedy rozparcelowali, biorąc bardzo wysokie ceny. Co roku kilku nabywców rzuca parcele.

Słupsk właściciel chciał sprzedać za 80.000 rs. i nie mógł znaleźć nabywcy. Poszedł wtedy do głowy po rozum, dał łapówkę i Bank nabył majątek za 115.000 rs. Naturalnie chłopi musieli pła-

cić po 120—130 rs. za morgę ziemi, którą mogli nabyć dawniej po 80 rs. Dziś są zrujnowani i niektórzy rzucili gospodarstwa.

Trzeci majątek nabył Bank przez podstawionego człowieka dając właścicielowi 98.000 rs., tj. 8.000 rs. więcej nad żądaną poprzednio cenę. Następnie ów podstawiony wspólnik urzędników Banku zostawił sobie kilka włók najlepszej ziemi i las, wartości 50.000, a za resztę gruntów zapłacił mu Bank znowu 98.000, t. j. tyle, ile dał za całość. Chłopi muszą i tu płacić wygórowaną cenę i grozi im ruina.

Tak gospodarują w Polsce instytucye rosyjskie nawet wtedy, gdy mają wyraźnie nakreśloną misyę polityczną — zjednanie dla rządu ludu polskiego, gdy występują jako głosiciele pewnych przekonań społecznych. Urzędnicy Banku włościańskiego nieraz występowali i występują jako ludowcy, obrońcy interesów chłopa polskiego, ba, nawet wybawiciele jego od tyranii szlacheckiej. Ale natura ciągnie wilka do lasu, a Moskala, nie wyłączając najradykalniejszych, do łapówki.

J. L. Jastrzębiec.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Wojna rosyjsko-japońska i współzawodnictwo angielsko-rosyjskie.

Dnia 6 lutego rząd japoński oznajmił gabinetowi petersburskiemu, że zrywa z nim stosunki dyplomatyczne, i niebawem huk armat przed portem Arthur obwieścił światu fakt, który na długie lata zadecyduje o przyszłości Azyi wschodniej, a w swych dalszych następstwach mieć będzie nie tylko dla Azyi lecz i dla Europy nieobliczalne następstwa. Rozpoczęła się walka, która Japonii ma przynieść niekwestyonowane już przez nikogo mocarstwowe stanowisko — albo ruinę polityczną i ekonomiczną, zaś Rosyi dać dominujące stanowisko w Azyi albo odebrać jej wszystkie owoce czynnej polityki obecnego panowania wraz z urokiem olbrzymiej potęgi, zbieranym przez czas nierównie dłuższy. To tylko skutki bezpośrednie, te zaś pociągną za sobą cały szereg innych; jednem z najbliższych następstw możliwej porażki rosyjskiej, stačby się musiało głębokie wstrząśnienie fundamentów obecnego ustroju politycznego, sięgające dalej niż to, jakie przeżyła Rosya po wojnie krymskiej.

Wojna obecna jest rezultatem dziewięcioletniej agresywnej polityki rosyjskiej, która dotychczas święciła tryumfy pokojowe; wypadła ona w znacznym stopniu niespodziewanie dla sfer kierujących tą polityką, które nie oczekiwały ze strony Japonii tyle odwagi i determinacyi. Od lat całych wprawdzie prowadził rząd rosyjski w Azyi wschodniej obszerne i nader kosztowne uzbrojenia, nie szczędząc milionów na flotę, fortyfikacye, koleje strategiczne i t. d.; ale przygotowywał się rząd ten nie tyle do wojny ile raczej na przypadek wojny, właściwie w zamiarach zapobieżenia jej w myśl starej maksymy *si vis pacem para bellum;* na dnie tych zabiegów spoczywało w politycznych sferach rosyjskich przekonanie, że byle dyplomacya postępowała ostrożnie i nie zawiele chciała zabrać odrazu, to Rosya będzie mogla wszystkie swoje rozległe plany w Azyi uskutecznić bez wojny drogą dłuższą zapewne, ale bezpieczną i tańszą. Rzeczywiście polityka rosyjska chciała być pokojową, ale jednocześnie była czynną, zaborczą i na wszystkich terenach azyatyckich niesłychanie agresywną.

Tryumfalny rydwan tej polityki miał kroczyć wciąż naprzód, wszyscy rozstępować się mieli przed nim bądź z obawy, bądź w nadziei, że zechce on na ostatniem ustępstwie poprzestać; olbrzymie i przereklamowane uzbrojenia rosyjskie wzniecałyby powszechną trwogę, zaborczy pokój budziłby uznanie dla potęgi i podziw dla wspaniałomyślności i humanitaryzmu cara; w tych warunkach dyplomacya stosunkowo nietrudną miała robotę starannego odmierzania swych kroków, aby nie brać zamało, a jednocześnie nie pospieszyć się zanadto i nie uwikłać państwa w wojnę. Tym razem odmierzyła źle...

Nie ulega wątpliwości, że swoją agresywną polityką zmusiła Rosya Japonię do rozpoczęcia wojny, mimo to jednak staje się z dniem każdym oczywistszem, że rząd carski wojny sobie nie życzył i do ostatnich niemal chwil miał nadzieję jej uniknąć. Z drugiej strony Japonia, zredukowawszy swoje wymagania pierwotne co do przyobiecanej przez Rosyę ewakuacyi, chciała wyczerpać wszystkie możliwe środki dyplomatyczne, nim się odważyła odwołać do *ultima ratio.* Znosiła ona przez pół roku, od 12 sierpnia, lekceważące traktowanie rosyjskiej dyplomacyi, która na noty jej odpowiadała po sześciu tygodniach, i co ważniejsza, widziała jak Rosya wyzyskuje jej cierpliwość i umiarkowanie, wzmacniając podczas rokowań na wschodzie Azyi woj-

ska i flotę, wznosząc na granicy Korei fortyfikacye. W prasie europejskiej odzywały się liczne głosy, że Japonia na wojnę z Rosyą sama widocznie się nie zdecyduje, kiedy marnuje drogi czas i pozwala Rosyi uzupełnić jej przygotowania. Zwłaszcza siły morskie na Oceanie Spokojnym powiększyła Rosya znacznie, wysławszy jeszcze w październiku potężną eskadrę posiłkową, która w połowie grudnia przypłynęła do portu Arthur.

Japonia wyczerpać chciała wszelkie środki pokojowe, przekonała się jednak, że rząd carski w zasadniczych punktach jest nieugięty. Ogłoszone z chwilą zerwania stosunków dyplomatycznych komunikaty rządów rosyjskiego i japońskiego wyjaśniają, o co chodziło Japonii i jakie ustępstwa gotowa była przyznać Rosya. Pierwsza nie domagała się ewakuacyi Mandżuryi, ale żądała uznania przez Rosyę w tej prowincyi praw zwierzchniczych Chin — uznania nie w formie deklaracyi albo obietnicy, bo z tych rzeczy rząd carski nic sobie nie robi, ale w formie traktatu między Rosyą a Japonią. W zamian za stanowisko Rosyi w Mandżuryi, domagał się rząd mikada podobnego w Korei z prawem ufortyfikowania niektórych punktów. Rosya odrzuciła te żądania; co do Mandżuryi rząd carski odmawiał na tej zasadzie, że wchodzą tu interesy innych państw; zresztą odsyłał Japonię dla dalszych rokowań do Pekinu; co do Korei zgadzał się na zwierzchnictwo japońskie nawet z prawem interweniowania zbrojnego w razie zaburzeń, ale opierał się stanowczo ufortyfikowaniu jakichkolwiek punktów na półwyspie. Zwierzchnictwo japońskie miałoby charakter ekonomiczno-kulturalny; rząd rosyjski pozostawał w ten sposób wiernym swej dawnej zasadzie niedopuszczenia Japończyków do usadowienia się polityczno-strategicznego na lądzie Azyi. Bez tego jednak Korea łatwo mogłaby się stać łupem Rosyi po ostatecznem załatwieniu się jej z Mandżuryą; ustępstwo rosyjskie przedstawiało więc małą wartość, jako gwarancya bezpieczeństwa Korei. Nota rosyjska, ułożona zresztą w słowach uprzejmych i zachęcająca do dalszych rokowań, zakomunikowana została poufnie posłowi japońskiemu, oficyalnego jednak jej doręczenia gabinet w Tokio nie mógł się doczekać. Rząd japoński doszedł do przekonania, że dalsza zwłoka byłaby niedorzecznością; nie chcąc już marnować drogiego czasu, nie czekając na notę, zerwał z rządem carskim stosunki dyplomatyczne i, nie bawiąc się w posyłanie

ultimatów, jak to przewidywano, rozpoczął działania wojenne atakiem swoich torpedowców pod portem Arthur.

Prasa rosyjska zarzuca Japończykom, że dopuścili się gwałtu, przeciwnego prawu narodów, napadając bez wypowiedzenia wojny eskadrę rosyjską, bo według nich zerwanie stosunków jeszcze nie jest równoważne z formalnem wypowiedzeniem wojny. Historya Europy w ubiegłym wieku obfituje w przykłady rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich nawet bez zerwania stosunków dyplomatycznych, gdyby więc nawet Japończycy w ten sposób wojnę rozpoczęli, to mogliby wykazać szereg precedensów. Rząd carski i prasa rosyjska piętnując «zdradę» Japończyków, chcą jako tako usprawiedliwić porażkę swej floty, która dała się tak niespodziewanie zaskoczyć — tłumaczenie marne, bo w porcie Arthur o zerwaniu stosunków dobrze wiedziano, a flota nie stała spokojnie w samym porcie, lecz przed nim w szyku bojowym, jak w obliczu nieprzyjaciela. Rządowi chodzi jeszcze o to, aby opowiadaniami o zdradzie i niegodziwości Japończyków fabrykować nastrój wojenny opinii, który dzisiaj pomimo sztucznych demonstracyi wcale nie wygląda imponująco. Sukcesy na dalekim Wschodzie nie wywoływały w Rosyi wielkiego entuzyazmu, bo z jednej strony opłacać je trzeba było zaniedbaniem kwestyi bałkańskich, z drugiej ogromnemi sumami pieniędzy włożonych w nowe nabytki. W każdym zaś razie opinia rosyjska ciężkiej i niezmiernie kosztownej wojny z tego powodu napewno sobie nie życzyła; sam rząd nie pragnął jej również: do pewnego więc stopnia sam wybuch jej uważać należy za następstwo błędu politycznego i rezultat mylnego rachunku. Pomimo bardzo naprężonego położenia w ostatnich czasach wciąż rozchodziły się z Petersburga wieści pokojowe; rachowano na brak odwagi ze strony Japonii. Tymczasem znaczna część prasy niemieckiej i francuskiej, popierająca interesy rosyjskie rozgłaszała o olbrzymich siłach, skoncentrowanych na wschodzie Azyi, o silnej partyi wojennej w rządzie rosyjskim, która wszelkiemi siłami prze do wojny, o najlepszych chęciach cara Mikołaja, który z pobudek wspaniałomyślności i miłości pokoju radby wojny uniknąć, ale znajduje się w trudnem położeniu wobec nieumiarkowanych żądań Japończyków. Dziś coraz jaśniej się okazuje, że żadnego wojennego stronnictwa *quand même* nie było w Rosyi; nawet osławiony z wojowniczości Alęksiejew dawał jeszcze niedawno urlopy swoim oficerom, uważając wi-

docznie, że wojny nie będzie, a Japonia robi tylko rozpaczliwe próby, aby możliwie dużo utargować na drugorzędnych przedmiotach sporu.

Dopiero od dwóch tygodni rozpoczęły się działania wojenne, a już Japończycy znacznie podnieśli swą reputacyę militarną, zdążyli nawet obalić kilka przypuszczeń, które często powtarzano przed wojną w prasie rosyjskiej i zagranicznej. Rosya przed wojną powiększała wciąż swoją flotę na dalekim Wschodzie, wysyłając tam wszystkie lepsze okręty z Baltyku, tak, że przed samym wybuchem *Nowoje Wremia*, robiąc rachunek sil morskich japońskich i rosyjskich, skoncentrowanych na miejscu, dochodzi do wniosku, że są one mniej więcej równe. Co się tyczy okrętów bojowych, organ petersburski przyznawał nawet lekką przewagę Rosyi, krążowników — Japonii. Uprawnione więc były i takie przypuszczenia, jakich nie szczędziła prasa nieprzychylna Japonii, że flota rosyjska okaże się w każdym razie dość silną, aby przeszkodzić swobodnemu lądowaniu wojsk na Koreę, a jeżeli nawet dzięki wybornym stanowiskom strategicznym na południu Korei, Japończycy w punkcie tym zgromadzą znaczniejsze siły, to okręty rosyjskie potrafią tak opóźnić te operacye, że przez czas ten przynajmniej polowa półwyspu znajdzie się w rękach Moskali. Wszak byli tacy specyaliści wojskowi, którzy obliczali przewóz wojsk japońskich na południe Korei na 8 tygodni prócz uciążliwego marszu, który wojska te musiałyby wykonać, spiesząc na północ naprzeciw Moskali.

Wszystkie te i tym podobne przewidywania pierzchły przed faktami, które poczęły od pierwszych wystrzałów następować po sobie z wielką szybkością.

Japończycy od samego początku rozwinęli silną i śmiałą inicyatywę wojenną; ich flota nie eskortowała transportów, lecz w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak, uderzyła na główne siły morskie Rosyan, zgromadzone w porcie Arthur. Nocny atak łodzi torpedowych uwieńczony został powodzeniem: dwa najlepsze i najnowsze pancerniki rosyjskie i jeden krążownik zostały uszkodzone. Rano rozpoczęło się bombardowanie twierdzy od strony morza; flota rosyjska wypłynęła, próbując odpędzić nieprzyjaciela, ale celny ogień pancerników japońskich zmusił ją do cofnięcia się pod osłonę fortów z poważnemi stratami i uszkodzeniami. Korzystając z unieruchomienia głównej eskadry rosyjskiej, blokowanej w porcie Arthur, liczne okręty

transportowe wysadzały przez ten czas wojska w różnych miejscach Korei, najwięcej zaś nie w południowych portach, lecz właśnie w północnych, aby oszczędzić wojsku ciężkiego i długiego marszu wzdłuż całego półwyspu. Japończycy dokonali okupacyi Korei ze zdumiewającą szybkością, która znakomicie świadczy o sprawności organizacyjnej ich sztabu i o rozległych przygotowaniach, poczynionych przed wojną. Dokonawszy okupacyi Korei, usiłują Japończycy wylądować, a według wielu telegramów już wylądowali w południowej Mandżuryi koło półwyspu Liao-tong na którym leży port Arthur i Dalnij. Nawet francuskie dzienniki przewidziały, że admirał Aleksiejew zmuszony będzie przenieść główną kwaterę do Mukdenu albo do Charbina, bo port Artur zostanie prawdopodobnie odcięty.

Japonia okazała się przeciwnikiem poważniejszym, niż myślano w Rosyi i na kontynencie Europy, natomiast przygotowania wojenne Rosyi okazały się, jak już nieraz bywało, bardzo przecenionemi. Wiadomo było powszechnie, że Japonia buduje w Anglii przeważnie i w Stanach Zjednoczonych potężną flotę, że rujnuje swoje finanse na wojsko wiadomo było, że jej sześć bojowych pancerników, a zwłaszcza najnowsze cztery niewiele mają równych wśród najpierwszych flot, ale z tem wszystkiem nie spodziewano się, że państwo azyatyckie pokaże światu marynarkę, nieustępującą jakościowo najlepszym europejskim a znacznie przewyższającą rosyjską. Już wspominaliśmy, że w Rosyi uważano siły morskie obu stron na wodach Azyi wschodniej za równe. Iluzya ta prysła: nietylko flota japońska zadała rosyjskiej dotkliwe straty i przynajmniej na czas pewien pozbawiła ją kilku dobrych okrętów, a niektóre zniszczyła zupełnie, ale, co ważniejsza może, okazała swą stanowczą wyższość, i zyskała przewagę moralną. Nie należy przeceniać strat rosyjskich, zwłaszcza zaś nie trzeba zapominać, że statek uszkodzony nie znaczy to samo, co zniszczony; w każdym jednak razie straty rosyjskie są poważne, a znaczenie ich potęguje ta okoliczność, że w porcie Arthur nie ma dostatecznych doków, że więc naprawa musi postępować wolno, większych zaś i silniej uszkodzonych okrętów jest niemożliwa.

Przewaga morska wzmacnia znacznie szanse Japończyków na lądzie, to też Rosya nie myśli rezygnować z walki na morzu i jak widać z ostatnich wiadomości, zamierza ona ogołocić Bałtyk z okrętów wojennych i wszystkie siły rozporządzalne posłać

na daleki Wschód. Jeszcze przed wybuchem wojny wysłała tam ona eskadrę morza śródziemnego, która w tej chwili znajduje się na Oceanie Indyjskim. Obecnie z Baltyku wypłynęło piętnaście okrętów wojennych. Wszystko to zdąża na wody japońsko-koreańskie.

Wspomnieliśmy już, że na teatrze wojny admiralicya rosyjska skoncentrowala przed wojną lepszą część swojej floty; wynika stąd, że posiłki, które tam płyną, przedstawiają wartość stosunkowo niewielką. Są to przeważnie statki budowane przed kilkunastu laty. Wprawdzie rząd rosyjski buduje seryę pancerników pierwszej klasy, które mogą stanąć obok kolosów floty angielskiej albo japońskiej, ale budowa ta nie jest ukończoną. Do seryi tej należały okręty *Carewicz* i *Retwisan*, które dla pośpiechu rząd rosyjski budował za granicą, pierwszy we Francyi, a drugi w Stanach Zjednoczonych. Te właśnie okręty zostały rażone w porcie Arthur japońskiemi torpedami i przynajmniej na pewien czas są niezdolne do akcyi. Inne pancerniki tej seryi rząd rosyjski zaczął budować sam na morzu Baltyckiem; są to okręty: *Aleksander III*, *Borodino*, *Oreł*, *ks. Suworow*, *Sława*. Zdaje się, że z nich wszystkich tylko dwa pierwsze są gotowe, co do innych, to już chyba w kampanii tej wcale nie wezmą udziału. Co do krążowników, to wszystkie lepsze statki tego rodzaju już są na teatrze wojny; z floty morza Baltyckiego posilków posłać im nie można. Obecnie więc rosyjskie siły morskie składają się z czterech eskadr: największa, blokowana w porcie Artur, władywostocka, złożona z dużych krążowników pancernych, która wydostała się z portu i niewiadomo gdzie się obecnie znajduje, posiłkowa eskadra, w tej chwili będąca na oceanie Indyjskim, wreszcie ostatnia, która wypływa z Baltyku. Sporo czasu musi upłynąć zanim te wszystkie eskadry znajdą się na polu walki; tem dłużej zaś czekać wypadnie, że rząd angielski w myśl deklaracyi neutralności wydal surowe rozkazy do komendantów stacyi węglowych, aby nie sprzedawali węgla okrętom wojennym obu stron wojujących. Utrudni to bez wątpienia podróż rosyjskim okrętom i opóźni zapewne ich przybycie. Obliczona na tonny i na liczbę armat flota rosyjska, która się może znaleść na wodach oceanu Spokojnego, przewyższa znacznie japońską, ale ocena taka, nie uwzględniająca czynnika jakościowego zarówno statków jak załogi, jest powierzchowna; nadto zaś owe cztery eskadry zdaniem specyalistów angielskich, nim się połączą

i znajdą w rosyjskim porcie ufortyfikowanym, narażają się nietylko na trudności, ale i na wielkie niebezpieczeństwo, które zagraża im od floty japońskiej sprawnej, szybkiej i rozporządzającej znakomitemi stanowiskami strategicznemi. W każdym razie przez kilka przynajmniej tygodni flota japońska mieć będzie przewagę niezaprzeczoną, a czasu tego tracić nie będzie napróżno.

Po pierwszych niepowodzeniach morskich zaznaczać zaczęły dzienniki rosyjskie, że w wojnie tej stanowcze słowo wypowie armia, a nie flota. W istocie, gdyby Moskalom udało się opanować Koreę i wyprzeć stamtąd Japończyków, to zadaliby ostatnim tak ciężki cios, że zadecydowałby on o wyniku wojny bez względu na ich ewentualne zwycięztwa morskie.

Niewątpliwie z tej strony czeka Japończyków walka trudna i niebezpieczna. Armii japońskiej specyaliści wojskowi jednogłośnie przyznają wysokie przymioty bojowe: jest ona dobrze zorganizowana i ożywiona duchem odwagi i patryotyzmu. Inne przymioty różną znajdują ocenę: są tacy, którzy wysoko niezmiernie podnoszą wytrwałość japońskiego żołnierza i zdolność do długich marszów, gdy inni w tem właśnie upatrują słaby punkt wojsk mikada. Armia japońska posiada pewien ważny brak: jej kawalerya jest nieliczna i licha. Wprawdzie na górskim terenie Korei znaczenie tego rodzaju broni znacznie się redukuje, ale w Mandżuryi brak ten dotkliwie może się dać uczuć Japończykom. Z drugiej strony, jeżeli uda im się utrzymać przewagę na morzu, to flota współdziałać może operacyom lądowym tak skutecznie, że ta pomoc przeważyć nawet może znakomitą przewagę rosyjskiej kawaleryi.

Najważniejszą rzeczą, która zadecyduje zapewne o rezultacie lądowej walki jest ilość wojska, jaką zdoła Rosya zebrać na teatrze wojny. Chodzi naturalnie nie o tę liczbę, którą rząd posiada w koszarach albo może do nich powołać, ale o tę, jaką potrafi w należytym czasie przerzucić na wschód Azyi, tam żywić i zaopatrywać we wszelkie potrzeby. Jedynym środkiem komunikacyjnym jest jednotorowa, licho funkcyonująca kolej syberyjska, w dodatku z przerwą przy jeziorze bajkalskiem. Podczas wojny chińskiej rząd rosyjski wysyłał transporty wojsk okrętami naokoło Azyi, a dostawy żywności szły w znacznej części z Ameryki. Teraz ani o jednem, ani o drugiem mowy być nie może: wszystkiemu musi podołać ta jedyna linia kole-

jowa. Nawet bardzo sprężysta i sumienna organizacya wojny i najlepsza intendentura, znalazłaby się w takich warunkach wobec trudności nie lada; wiadomo zaś dobrze, że tu we wszystkich wojnach spoczywał słaby punkt armii rosyjskiej i to wtedy, kiedy wojna toczyła się na stosunkowo bliskim, dobrze znanym, wydeptanym przez wojska rosyjskie teatrze bałkańskim. Taka intendentura, jaką miała Rosya np. w ostatniej wojnie z Turcyą szkodziła w wysokim stopniu sprawności operacyi strategicznych i wyrządzała znaczne straty w ludziach — teraz, o ile nie zdobędzie się rząd carski na lepszą, skutki mogą być bez porównania poważniejsze, decydujące poprostu o wyniku kampanii.

Rząd rosyjski w swym najnowszym, nawiasem mówiąc, niedorzecznie ułożonym komunikacie, przyznaje, że znalazł się do wojny nieprzygotowanym, i z góry przygotowuje opinię na to, aby na rychłe tryumfy oręża rosyjskiego nie rachowała. Oświadczeniu temu wtóruje prasa półurzędowa; nie wątpi ona o zwycięztwie Rosyi, ale przewiduje długą, ciężką wojnę i olbrzymie ofiary.

W liczbie argumentów, skierowanych przeciw szansom Japonii figurowała na szpaltach prasy rusofilskiej i rosyjskiej przestroga, że finanse niedawno odmłodzonego państwa nie wytrzymają w żaden sposób ciężarów długiej wojny i, że bez względu na rezulat starć zbrojnych, Japonia dość prędko ugnie się pod nadmiernem brzemieniem finansowem. Argument ten powtarzają teraz gazety rosyjskie, osładzając sobie w ten sposób niewesołe wieści z oceanu Spokojnego. Cała ta nadzieja może się okazać zawodną; prawda, że Japonia nie rozporządza wielkimi środkami, ale wojna która toczy się w pobliżu, musi ją kosztować bez porównania mniej niż samą Rosyę, która sprowadzać musi wojsko, żywność i materyał wojenny z ogromnej odległości. Nadto dwie największe potęgi ekonomiczne świata Anglia i Stany Zjednoczone stoją w obecnej wojnie po stronie Japonii, która broni po części ich interesów, i zapewne nie jest zbyt śmiałem przypuszczenie, że w razie ciężkiej potrzeby Japonia liczyć może na funty angielskie i dolary amerykańskie. Przed samą wojną poważne organy prasy jak *Times*, oświadczały nawet, że Wielka Brytania nie może dopuścić zgniecenia Japonii przez Rosyę i, że w razie stanowczego przechylenia się szali wojennej na stronę ostatniej, musi ona interweniować czynnie. Obecnie zajmuje Anglia stanowisko, które prasa rosyj-

ska uważa za nieżyczliwą neutralność. Wspominaliśmy już o zakazie sprzedawania węgla okrętom obu państw, zakazie, który w praktyce zwraca się wyłącznie przeciw flocie rosyjskiej. Pozostając neutralną Anglia posiada liczne środki popierania Japonii i zadawania pokojowych, ale dotkliwych ciosów swojej azyatyckiej współzawodniczce. Przedewszystkiem zaś może prowadzić dalej swoją akcyę antyrosyjską w Tybecie i w Persyi, którą zaczęła już dawniej, kiedy chmury wojenne dopiero się zbierały. Współcześnie z wybuchem wojny ogłosiło ministeryum angielskie korespondencyę dyplomatyczną z gabinetem petersburskim w sprawie Tybetu. Okazuje się stamtąd, że w r. 1901 jeszcze podczas wojny transwalskiej, po wysłaniu poselstwa tybetańskiego do Rosyi, rząd angielski zawiadomił zarówno Chiny, jak i Rosyę że nie może się przyglądać obojętnie wypadkom, które mogą sprowadzić zmianę *status quo* w Tybecie. W styczniu r. 1903 na naleganie wicekróla Indyi lorda Curzona rząd angielski poczynił w tej sprawie przedstawienia w Pekinie, na co rząd carski oświadczył, że wobec zachowania się Anglików może będzie musiał przedsięwziąć pewne kroki dla obrony swoich interesów. Na to odpowiedział gabinet londyński, że Anglia potrafiłaby rozwinąć w takim razie działalność, która poszłaby dalej niż zamierzone kroki rządu rosyjskiego. Po pewnym czasie z Peterburga przyszła wyraźna groźba, że każda próba naruszenia *status quo* w Tybecie zmusi Rosyę do energicznej obrony swoich interesów. Groźba ta nie wywarła jednak skutku i wyprawa angielska wkroczyła do Tybetu. Wtedy gabinet petersburski wystąpił z formalnym protestem. Ministeryum angielskie w swej odpowiedzi zaznaczyło że najmniej chyba ma prawo robić zarzuty jej polityce państwo, które okazało swe zaborcze dążności w sprawie turkiestańskiej, perskiej i mandżurskiej.

Sprawa tybetańska, jak niedawno wyjaśnił w *Contemporary Reviev* p. Dillon, ma kilka bardzo ważnych stron. Chodzi nietylko o duchowe zwierzchnictwo Dalej-Lamy nad setkami milionów buddystów, ale i o strategiczno-polityczne znaczenie Tybetu względem Indyi i Chin. To też polityka rosyjska od lat kilku zaczęła się mocno interesować tę egzotyczną krainą i posyłać tam różne wyprawy «naukowe», za któremi nastąpiły już wyraźnie polityczne poselstwa. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, jakie wrażenie wywołała na jesieni r. 1901 wieść, że Rosya zawarła

z Chinami tajny traktat, oddający jej zwierzchnictwo nad Tybetem. Wieść ta powtórzyła się i teraz niedawno, kiedy Anglia przygotowywała swoją wyprawę, z tą tylko różnicą, że traktat ten miał zostać zawarty z samym Dalaj-Lamą. Obecnie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że rząd carski zawarł istotnie tajny traktat, nadający mu nad Tybetem prawo i obowiązek opieki, wzamian za jakieś koncesye w Tybecie dla poddanych rosyjskich. Istnienie takiej umowy wyjaśnia dostatecznie podstawę Tybetańczyków, którzy w swym sporze z Anglią rachują na pomoc Moskali, z drugiej strony zrozumialemi stają się groźby rosyjskie.

Anglia nie ma zamiaru opanowania Tybetu; chce ona tylko namacalnie pokazać Dalaj Lamie, że potrafi sobie znaleźć drogę do jego stolicy i że bezpieczniej dla niego zachować dobre stosunki z rządem indyjskim, niż rachować na nowego protektora. Akcya angielska dąży więc do przekreślenia ostrzem miecza tajnej umowy tybetańsko-rosyjskiej i do zniweczenia misternie rozsnutych koło Indyi intryg moskiewskich. Z drugiej strony Rosya poszła w tej sprawie tak daleko, że bez poważnej porażki politycznej cofnąć się nie może. Gazety rosyjskie rozpisują się o proteście swojego rządu w kwestyi Tybetu, widząc w tem dowód, że wojna z Japonią nie absorbuje tak dalece jego sił, żeby miał ustępować gdzieindziej. W związku z tą kwestyą ma być zamierzona mobilizacya dwóch korpusów turkiestańskich, które nie pójdą walczyć z Japończykami, lecz mają służyć do wywarcia odpowiedniego nacisku na Anglię, a w razie potrzeby wkroczyć do Heratu. Bezpośrednio Rosya nie jest w możności przeszkodzić akcyi Anglików w Tybecie, bo nie ma z posiadłości rosyjskich żadnej drogi strategicznej, którą mogłyby się tam dostać wojska rosyjskie.

Kwestya tybetańska posiada dla Rosyi ogromną wagę w jej planach zaborczych; prócz tego tajny traktat, którego istnienie już dziś nie ulega wątpliwości, nakłada na nią zobowiązania. O ile tych zobowiązań nie spełni, sama sprowadzi ruinę swoich wpływów i ugruntowanie wrogich jej angielskich. Sam niezwykle ostry ton korespondencyi dyplomatycznej wskazuje, że Rosya nie cofnęłaby się w tym wypadku przed wojną i, jeżeli do czasu zmuszoną będzie się powstrzymać, to tylko ze względu na obecną wojnę. To jedno dostatecznie wskazuje, jak silnym węzłem związane są wobec Rosyi interesy Anglii

i Japonii. Mają poniekąd słuszność gazety rosyjskie, kiedy w wojnie obecnej widzą skutek aliansu angielsko-japońskiego. W istocie bez niego, bez groźnego 3-go artykułu, Japonii trudno byłoby się odważyć na wojnę z Rosyą, bo istniałaby bardzo uzasadniona obawa, że ta za dobrą zapłatę w Chinach zyska sojuszników i utworzy potężną koalicyę. Anglia ogłosiła neutralność, ale wszystkimi dozwolonymi środkami popiera Japonię, prócz tego zaś prowadzi zaczętą już dawniej akcyę polityczną antyrosyjską. Klęska Japonii, uznanego sprzymierzeńca Anglii, byłaby niewątpliwie klęską polityczną jej samej i zapowiedzią stanowczej przegranej w jej stuletniej walce z Rosyą. Już przed miesiącem *Morning Post* oświadczyła się stanowczo za interwencyą czynną w razie potrzeby, bo «klęska Japonii będzie upadkiem handlu i wpływów Anglii na całym wschodzie Azyi i upadkiem jej uczciwego imienia na całym świecie».

Tak, wojna ta to odpowiedź angielsko-japońskiego aliansu na agresywną politykę Rosyi nietylko na wschodzie Azyi, lecz na całym obszarze tej części świata, i, chociaż dawne współzawodniczki nie walczą jeszcze ze sobą orężnie, patrzą sobie jednak w oczy, czując, że ta walka i między niemi się rozgrywa. Te same żywioły, które podczas wojny transwalskiej wytwarzały opinię antyangielską, albo przynajmniej stanowiły główną jej siłę, dzisiaj znalazły się w obozie rosyjskim. Jest nieco prawdy w groźbie dzienników rosyjskich, które zapowiadają Anglii «mobilizacyę korpusów turkiestańskich, popartą przez sympatyę Europy». Z drugiej strony Japonia znajduje moralne poparcie nie tylko w Anglii, lecz i w Ameryce; prasa rosyjska podejrzywa Unię o zapewnienie Japonii znacznej pożyczki. Inicyatywa w sprawie poszanowania neutralności Chin, która wyszła z Waszyngtonu, mocno niepodobała się prasie rosyjskiej; upatruje ona w tym kroku jakiś ukryty szach, zadany polityce Rosyi.

W prasie rosyjskiej i rusofilskiej pisze się wiele o obecnej wojnie, jako o walce Europy i Azyi, rasy białej i żółtej, a nawet cywilizacyi i barbarzyństwa. Rosyi przypadałaby tym sposobem zaszczytna rola przedstawicielki rasy białej i cywilizacyi wobec grożącego Europie panmongolizmu. Ci panowie, którzy w ten sposób rzecz oświetlają, rachują zaiste na krótką pamięć swych czytelników. Wszak niema jeszcze czterech lat, jak nietylko panazyata moskiewski książe Uchtomski, ale cała prasa

rosyjska przyklaskiwała formalnie ruchowi bokserów, skierowanemu przeciw europejczykom, a radość ich mąciła ta tylko okoliczność, że bokserzy nie umieli odróżnić Moskali od europejczyków i chcieli się pozbyć jednych i drugich. I chyba najgroźniejszy dla Europy i cywilizacyi jest ten panmongolizm, którym zagraża jej Rosya w razie ziszczenia się jej wielkich panazyatyckich planów. Oddawna już przedstawiciele dziczy azyatyckiej, rozmaitych Kałmuków i Baszkirów w mundurach rosyjskich odwiedzali Zachód; w tychże samych mundurach najprędzej mogłaby Europa zapoznać się z owem żółtem niebezpieczeństwem, przed którem Rosya rzekomo jej broni.

Jeżeli żółta rasa wystąpi kiedy na widownię historyczną, jako siła czynna, to nastąpi to zapewne w tak odległej przyszłości, że dzisiaj można o tem mówić raczej ze stanowiska socyologicznego, nie zaś z politycznego. Azya dzisiaj jest jeszcze masą politycznie bierną, a o panowanie nad nią walczą inni. Jeżeli chcemy znaleść szersze tło dla zapasów, które się toczą na dalekim Wschodzie, to jest niem nie walka między rasą białą a żółtą, lecz walka o panowanie albo o górującą pozycyę w Azyi między Rosyą, a rasą anglo-saską.

S. Ko—wicz.

LISTY WARSZAWSKIE.

Warszawa w lutym.

I.

Ubezpieczenia ogniowe w Królestwie Polskiem.

Ukazem carskim, z dnia 10 czerwca 1900 roku, została wprowadzona w Królestwie Polskiem nowa ustawa ubezpieczeń budynków od ognia. Nowa organizacya według zmienionej ustawy rozpoczęła działalność z dniem 1 stycznia 1901 roku. Różni się ona od dawniej istniejącej przedewszystkiem przez ustanowienie specyalnego zarządu ubezpieczeniowego w Warszawie i przez wprowadzenie nowej taryfy składek ubezpieczeniowych.

Dawniej zawiadywał ubezpieczeniami referent w powiecie, zależny bezpośrednio od naczelnika powiatu, a wszystkie sprawy ubezpieczeniowe zależały od władz gubernialnych, obecnie natomiast ustanowiono w Warszawie na Królestwo Polskie zarząd

podległy jedynie Ministeryum spraw wewnętrznych, po powiatach zaś naznaczono taksatorów, od władzy administracyjnej zupełnie niezależnych. Reforma ta jest bezwątpienia korzystna dla ludności, bo ukróciła niesłychane łapownictwo, które referenci powiatowi praktykowali przy wypłacie odszkodowań za pożary — nikt pieniędzy nie otrzymał, kto haraczu odpowiedniego nie zapłacił. Obecnie taksatorami są przeważnie Polacy, w znacznej części ludzie z uniwersyteckiem nawet wykształceniem; którzy załatwiają wszystko bezinteresownie; a zarząd główny stara się by całe urządzenie funkcyonowało dobrze. Trudno ma się rozumieć przewidzieć, jak długo potrwa taki stan, bo z chwilą wprowadzenia Rosyan na urzędy taksatorów, znajdą oni z pewnością sposoby pobierania łapówek. Jest to zaś bardzo prawdopodobne, bo już postanowiono więcej Polaków do służby w ubezpieczeniach nie przyjmować. W każdym razie istnienie instytucyi niezależnej od władz miejscowych, należy uważać za pożyteczne.

Inna natomiast strona zmienionej ustawy okazała się dla ludności polskiej bardzo uciążliwą, mamy tu na myśli podwyższenie skali składek ogniowych. Dawniej były składki w całym Królestwie jednakowe — właściciele folwarków płacili rubla, a włościanie 60 kop. od każdych 100 rubli sumy, na którą budynki były ubezpieczone. Przy układaniu nowych taryf przyprzyjęto za zasadę, ża wysokość składki winna być zależna od stopnia niebezpieczeństwa, jakiemu podlega budynek w stosunku do ognia. Niebezpieczeństwo pożaru zależne jest od tego, do czego służy dany budynek, od jego położenia w stosunku do innych zabudowań i od materjału z którego jest postawiony. Stosując tę zasadę, ułożono nadzwyczaj skomplikowaną taryfę. Według tej taryfy podzielono przedewszystkiem wszystkie budynki na zwykłe i folwarczne. Każdą z tych grup podzielono na trzy klasy: do pierwszej zaliczono budynki znajdujące się od innych w większem oddaleniu niż 50 sążni, do drugiej budynki wiejskie znajdujące się w oddaleniu mniejszym niż 50 sążni, do trzeciej wreszcie budynki w miastach i osadach, nieoddalone więcej jak na 50 sążni. Każdą z tych klas podzielono znów na rodzaje, zależnie od materyału, z którego są ściany budynku i zależnie od rodzaju pokrycia dachów.

Przy obliczaniach taryf wzięto za podstawę straty, poniesione wskutek pożarów w ciągu lat 1876—1895 i wypracowano

kilka taryf dla różnych części kraju. Rezultatem tego wszystkiego było znaczne podniesienie składek ogniowych, płaconych przez naszych włościan, ponieważ ich zabudowania, stawiane przeważnie z drzewa, kryte słomą i rzadko bardzo oddalone więcej niż na 50 sążni jedne od drugich, dostały się do najgorszej kategoryi.

Dawniej płacili włościanie w całym kraju 60 kop. od stu rubli, według nowych taryf zaś musieli płacić:

w gub. warszawskiej	66 kop., czyli o	6 kop. więcej
» piotrkowskiej » kaliskiej « lubelskiej	82.5 » » »	22 » »
» płockiej . .	88 » » »	28 » »
» siedleckiej » radomskiej » kieleckiej » suwalskiej	93·5 » » »	33·5 » »

Zyskali natomiast właściciele folwarków, którzy mają przeważnie budynki nie należące do ostatniej kategorji, bo w najgorszym nawet razie płacili 93·5 kop. zamiast dawnego rubla, zyskała również drobna szlachta, która płaciła dawniej rubla, a teraz przeszła na te same prawa co włościanie.

Tak znaczne podniesienie składek nie było zupełnie usprawiedliwione rzeczywistą potrzebą, bo w banku państwa spoczywa $5^1/_2$ miljona kapitału zapasowego ubezpieczeń ogniowych w Królestwie Polskim, a czysty dochód przed wprowadzeniem taryfy we wszystkich powiatach Królestwa wyniósł w końcu 1901 r. 537·126 rb. 61 kop. Z chwilą wprowadzenia w czerwcu roku zeszłego nowej taryfy w całym kraju, dochody te zwiększyły się zapewne jeszcze bardziej. Nadwyżkę zaś całą w porównaniu do lat dawnych płacą włościanie, stanowi to zatem stratę dla całego kraju, z którego pieniądze niepotrzebnie zupełnie płyną do kas rządowych. — W skromnym budżecie włościanina zaś podniesienie podatku o rubli kilka, stanowi bardzo niepożądaną inowację. Włościanie stanęli odrazu w opozycyi do nowej ustawy, w niektórych miejscach oświadczyli wprost że składek według nowej taryfy płacić nie będą. Z tego powodu wyniknęły poważniejsze zaburzenia w Tucznej w powiecie bialskim i w Siernikach i kilku innych wsiach w powiecie łowickim. W Tucznej przyszło do starcia z policyą, w czasie którego poturbowano

trochę naczelnika powiatu, w Łowickiem zaś zjechał gubernator na czele policyi i żandarmów i opierającym się chłopom zabrano pierzyny i t. p., które później sprzedano przez licytacyę w Łowiczu. Za opór policyi przetrzymano kilku w więzieniu śledczem przez parę miesięcy i dopiero wypuszczono ich po uniewinniającym wyroku sądowym.

Obydwa te wydarzenia były swego czasu szczegółowo opisane w *Polaku*, prócz tego ze wszystkich stron kraju zaczęły napływać do głównego zarządu ubezpieczeń w Warszawie i do ministra spraw wewnętrznych skargi na zbyt wysokie składki.

Jak się obecnie pokazało, odniosła akcya włościan bardzo dobry skutek, bo od 1-go stycznia st. stylu zniesiono taryfę opłat dla tej kategoryi, do której należą budynki włościańskie. Cyrkularzem z dnia 2 grudnia 1903 roku zawiadomiono taksatorów, że opłatę od budynków zwyczajnych wiejskich, znajdujących się na odległości mniejszej niż 50 sążni jedne od drugich, zmniejsza się o 15%. Zniżka to niezbyt wielka, stanowi jednak znaczne zwycięztwo, a dla prowadzących akcyę włościan ma znaczenie moralne.

Według obowiązującej od 14 stycznia taryfy będą włościanie płacili od drewnianych, krytych słomą budynków:

w gub.	warszawskiej	56	kop.	zamiast dawnych	66 kop,
»	piotrkowskiej				
»	kaliskiej	70	»	» »	82.5 »
»	lubelskiej				
»	płockiej . .	75	»	» »	88 »
»	siedleckiej				
»	radomskiej	80	»	» »	93.5 »
»	kieleckiej				
»	suwalskiej				

W tym samym czasie, gdy włościanie nasi sarkali na nowe ubezpieczenia i wysyłali setki skarg na zbyt wygórowane opłaty, prowadziły akcyę przeciwko ubezpieczeniom władze administracyjne Królestwa pod wodzą Czertkowa. Tylko im chodziło o zupełnie co innego: bolały ich nie składki wysokie, lecz stworzenie w Królestwie instytucyi zależnej bezpośrednio od Peterburga. Szły więc «dokłady» od naczelników powiatu do gubernatorów, wymierzone przeciwko zarządowi ubezpieczeń, a niektórzy naczelnicy nie wahali się włościan podburzać przeciwko instytucyi, wyzyskując zręcznie sprawę zmienionej taryfy.

Wreszcie 8 lipca wystosowała kancelarya gieneral gubernatora memoryał do ministra w sprawie ubezpieczeń. Memoryał ten w pierwszej części mówi o technicznych wadach w instytucyi ubezpieczeń, w drugiej zaś rozstrzyga całą sprawę z punktu widzenia politycznego. Tę drugą część uważamy za bardzo charakterystyczną i przytaczamy ją poniżej w dosłownem tłumaczeniu.

»Niezależnie od wykazanych braków działającej obecnie instytucyi ubezpieczeń ogniowych, przypisać należy szczególne znaczenie pobudkom natury politycznej, stosownie do których scentralizowanie zarządu spraw ubezpieczeniowych w Warszawie, niezgodne zresztą z ogólnemi widokami rządu w kraju Nadwiślańskim, jest bardzo niepożądane.

»Już w roku 1867 przy rozpatrywaniu projektów zmian miejscowych urządzeń administracyjnych, a w tej liczbie i komisyi ubezpieczeń, doszedł komitet do spraw Królestwa polskiego, który opierał się na Najwyżej objawionej woli, wyrażonej w dniu 8 grudnia 1866 r., do wniosku, że w Warszawie nie należy pod żadnym pozorem pozostawiać, ani też tworzyć żadnych centralnych dla Królestwa polskiego urzędów ani urządzeń. Na tej podstawie, w celu połączenia kresów Nadwiślańskich z Cesarstwem, przez wspólne urządzenia rządowe, została zniesiona urzędująca w Warszawie Komisya ubezpieczeniowa, a zarząd sprawami ubezpieczeniowemi oddany został władzom powiatowym i gubernialnym.

»W dalszej swojej polityce w kraju Nadwiślańskim rząd wytrwale się trzymał wyżej wyłożonego zasadniczego poglądu, tak kierując wszystkie swoje kroki, by złączyć kraj Nadwiślański z Cesarstwem na gruncie wspólnego prawodawstwa i jednakiego sposobu rządzenia, i by usunąć, o ile możności to wszystko, coby mogło wzmacniać związek poszczególnych części tego kraju z Warszawą — historycznym ośrodkiem Polski.

»Niestety przy opracowaniu projektu nowej ustawy ubezpieczeń ogniowych ten cel zasadniczy został zapomniany i przeważały często teoretyczne względy nad korzyściami, jakie miało dać złączenie spraw ubezpieczeniowych na przestrzeni wszystkich dziesięciu gubernii kraju Nadwiślańskiego pod jednym zarządem w Warszawie.

»Korzyści te okazały się conajmniej wątpliwemi. Niepodobna bowiem uważać za wielką korzyść zgromadzenie przy nowym zarządzie znacznego funduszu ubezpieczeniowego. Nagromadzenie to zostało częścią osiągnięte przez wprowadzenie nadmiernie wysokich składek ogniowych i przez wstrzymywanie wypłaty odszkodowań za pożary, częścią zaś powstało wskutek zmniejszenia się ilości pożarów, co może być rzeczą czysto przypadkową i czasową.

»Choć zmniejszenie się ilości pożarów w kraju, które tak dobrze wpłynęło na powiększenie funduszu ubezpieczeniowego, jest w części następstwem wykonanego w ciągu lat ostatnich nowego otaksowania

zabudowań, przedewszystkiem żydowskich w osadach, nie wystarcza ono jednak do uzasadnienia potrzeby istnienia w Warszawie centralnego zarządu do spraw ubezpieczeniowych, bo przy odpowiednim urządzeniu nadzoru nad ubezpieczeniami w powiatach i guberniach, przetaksowanie budynków mogłoby się odbyć z równem powodzeniem i dodatnim rezultatem.

»Od chwili przywrócenia w Warszawie centralnego zarządu wzajemnych ubezpieczeń od ognia, gubernatorowie nie posiadają ani danych dotyczących ubezpieczeń, ani urzędników obznajmionych z tą sprawą i stracili wskutek tego możność nadzorowania biegu sprawy ubezpieczeniowej i działalności taksatorów.

»Tymczasem taksatorowie i ich pomocnicy, których istnieje w kraju bardzo dużo i którzy są przeważnie polskiego pochodzenia, mają sposobność, przy okazji swoich czynności urzędowych, spotykania się z włościanami i stają się wskutek tego, wobec zupełnego braku kontroli, czynnikiem niezupełnie pewnym *(daleko nie bezopasnym)* pod względem politycznym. Doświadczenia poczynione podczas przerwanego już obecnie zbierania statystyki ziemskiej w niektórych guberniach Cesarstwa i nieporządki, jakie miały miejsce w r. 1897, wśród b. greko-unitów w guberni siedleckiej, w czasie spisu jednodniowego, nieporządki wynikające z poduszczeń niektórych spisujących, są dowodem jak niebezpiecznie jest dopuścić do bezpośrednich stosunków z ludnością w charakterze urzędowym osoby niepewne pod względem politycznym.

»Nie mając tymczasem powodu do posądzania taksatorów i techników, wysyłanych w różne okolice kraju przez zarząd ubezpieczeń ogniowych, o jakieś przeciwrządowe dążności, muszę jednak zaznaczyć, że, zdaniem mojem, zbieranie wiadomości o osobach, naznaczonych na te urzędy przed ich mianowaniem, nie daje dostatecznej gwarancyi należytego wyboru kandydatów, i że oddanie ich pod zawiadywanie władz gubernialnych, ułatwiłoby tym ostatnim zadanie dozorowania organów miejscowych wzajemnych ubezpieczeń ogniowych.

»Co się tyczy wyboru na te urzędy osób odpowiednich, to wynagradzając ich należycie ani zarząd ubezpieczeń, ani gubernatorowie nie napotkaliby na żadne trudności.

«Nakoniec sądzę, że wobec wprowadzonego obecnie rozszerzenia kompetencyi władz gubernialnych w decydowaniu spraw gospodarczych miejscowych, byłoby zupełnie właściwem oddać również gubernatorom zarządzanie ubezpieczeniami, jako jedną z powinności obowiązkowo ciążących na ludności. Poddanie zaś urzędników, pracujących w ubezpieczeniach, jako organów wydziału Ministeryum spraw wewnętrznych, odpowiednim gubernatorom odpowiadałoby zupełnie wyrażonej w Najwyższym manifeście woli, chcącej zwiększenia odpowiedzialnej za porządek władzy w guberniach.

»Rozważanie powyższe doprowadza mnie do wniosku, że zarówno ze względu na polityczne stosunki w kraju nadwiślańskim, jako też i ze względu na prawidłowy rozwój wzajemnych ubezpie-

czeń ogniowych, byłoby najlepiej powrócić do dawnego urządzenia, to znaczy, znieść centralny zarząd ubezpieczeń w Warszawie i oddać ubezpieczenia władzom gubernialnym, usunąwszy przy tem jednak wszystkie braki, jakie miała organizacya ubezpieczeniowa z r. 1870«.

Następstwem powyższego memoryału Czertkowa była narada, zwołana przez ministra spraw wewnętrznych Plewego, w czasie ostatniej jego bytności w Warszawie. Obecni na tej radzie wszyscy gubernatorowie oświadczyli się za zniesieniem zarządu ubezpieczeń w Warszawie. *B—cz.*

Warszawa w lutym.

II.

Społeczeństwo Królestwa wobec wojny.

Na pierwszą wieść o wojnie i o porażce rosyjskiej koło portu Artura, w Warszawie zawrzało. Pokolenie obecne było świadkiem tylu powodzeń państwa carów i tak nie przywykło do jego niepowodzeń, że wiadomości owe musiały wstrząsnąć nerwami. Dziś już wszakże nerwy się uspokoiły, ludzie naogół wcale prędko wrócili do równowagi i spokojnie, częstokroć na zimno zaczynają obliczać możliwe skutki porażki lub zwycięstwa rosyjskiego.

Dawno nie mieliśmy tak poważnych powodów do zadowolenia ze sposobu zachowania się społeczeństwa. Stanowczo odbył się u nas ostatnimi czasy ogromny postęp w sposobie politycznego myślenia. Jesteśmy trzeźwiejsi, głębsi, zdrowsi w instynktach i nie tacy już ignoranci polityczni, z jakich ogół nasz składał się niedawno jeszcze.

Od pierwszej chwili dla nikogo nie było wątpliwem, że ogół nasz jest sercem po stronie Japonii, ale też bardzo prędko stało się jasnem, że opinia nie obiecuje sobie z tej wojny żadnych ważnych dla nas zmian, z kategoryi, że się tak wyrazimy, międzynarodowych; natomiast ludzie dość ogólnie rozumieją, że wojna ta silnie odbije się na stosunkach wewnętrznych państwa, doprowadzając może nawet do zmiany w jego ustroju, z drugiej zaś strony, że może ona znacznie zmienić na korzyść nasze w tem państwie położenie. Napisana w tym duchu, nawołująca do spokoju, a przy jasnej ocenie sytuacyi politycznie wyraźnie manifestująca nasze usposobienie i nasze sympatye odezwa Ko-

mitetu Centralnego Ligi Narodowej została przyjęta nadzwyczaj poważnie, z objawami gorącego uznania a nawet zapału. Jest faktem, że Liga Narodowa w tej odezwie wystąpiła jako niewątpliwa wyrazicielka przeważającej w społeczeństwie myśli; nigdy też tak szerokie sfery społeczeństwie nie czuły się z nią solidarnemi, nigdy ogół w takiej mierze nie odczuwał wartości narodowej organizacyi.

Dzisiejszy stosunek społeczeństwa do Ligi jest dowodem, że cała praca *Kraju* petersburskiego, *Kuryera polskiego*, Scriptorów i innych «oskarżycieli» a właściwie oszczerców narodowej pracy politycznej, była pracą Syzyfów. Pisali oni tomy całe, rozpowszechniali je wielkim kosztem, zapełniali całe pisma napaściami na «wszechpolaków» — ogół czytał, słuchał, ale jednocześnie myślał i skutkiem tego poszedł we wręcz przeciwnym kierunku. Sympatye do tych, co z narażeniem się i poświęceniem pracują nad dźwignięciem naszej sprawy pod panowaniem rosyjskiem, istniały zawsze, bo społeczeństwo nasze nie nawykło jeszcze tak do obroży, ażeby gotowe było «kąsać rękę, co ją targa». Ale z temi sympatyami łączyła się obawa, ażeby ludzie ci z najlepszą wolą, nie sprowadzili na naród jakiej klęski. Ogół nie rozumiał dobrze, na czem praca Ligi polega i dokąd prowadzi. Ostatnie wszakże lata przyczyniły się wielce do wyjaśnienia dążeń organizacyi: sprawa bialsko-siedlecka, robota wśród ludu na wsi, rozwijająca się już dziś wcale szeroko walka o prawo, przez włościan samych na skutek tej roboty prowadzona, cały wreszcie szereg innych prac — wszystko to przekonało ludzi myślących, że w programie Ligi, w jego wykonaniu leży nasza przyszłość polityczna. I dziś nawet wśród ludzi, stojących zdala od wszelkich robót nielegalnych, odczuwa się prawdziwą radość, że mogą się na stanowisko Ligi zgodzić. Coraz szerzej daje się czuć zaufanie do organizacyi, że nie zrobi ona nic, coby było gwałtem na uczuciach i sposobie myślenia społeczeństwa.

Jest to wielkie zwycięztwo moralne. Zawdzięcza je Liga niezmordowej pracy zarówno na polu praktycznem, jak w dziedzinie myśli politycznej.

Jeżeli obecna wojna pomogła Lidze Narodowej do stwierdzenia tego postępu, jaki zrobiła w opinii, to zupełnie przeciwny rezultat dała ona najzaciętszym wrogom Ligi — grupie ugodowców petersburskich.

Oddawna już twierdzimy, że ogół nasz coraz lepiej się poznaje na wartości roboty tych panów, i że skutkiem tego są oni w społeczeństwie odosobnieni. Nie wierzyli oni temu, a przynajmniej nie chcieli wierzyć, i przy pomocy paru mecenasów robili nietyle nadludzkie, ile niedludzkie wysiłki wydostania się na wierzch. Pisma Scriptora były jednym z najmocniejszych środków. Teraz mieli sposobność przekonać się, co przy pomocy swych wysiłków osiągnęli.

Z powodu wojny chcieli oni zorganizować w Królestwie adres do cara z oświadczeniem, że Polacy stoją teraz wiernie przy Rosyi i gotowi są do ofiar. Projekt ten, z którym wystąpili pp. Piltz i Straszewicz, poparci przez pp. Wielopolskiego i Józefa Potockiego natrafił na opór ludzi nawet bardzo lojalnych i gotowych wiele zrobić dla pozyskania łaskawości rządu. Gdy polscy (w przeciwstawieniu do petersburskich) lojaliści wystąpili z projektem zorganizowania komitetu, któryby się zajął zbieraniem składek na Czerwony Krzyż, jako na instytucyę, opiekującą się rannymi, to i ten projekt upadł. Postanowiono na razie ograniczyć się do tego, że arcybiskup Popiel zorganizuje oddziałek z polskimi lekarzami, księżmi i siostrami miłosierdzia — o ile mu, naturalnie, władze pozwolą. Tego rodzaju wystąpienie ma przynajmniej pewną racyę w tem, że w wojsku rosyjskiem na Wschodzie jest wielu Polaków, którzy będą potrzebowali opieki.

Ale p. Piltz i jego przyjaciele, wykształceni w lojalności względem Moskali i rządu, nie przywykli bawić się w lojalność względem opinii polskiej. Zresztą nałóg oszustwa jest tak silny w nich, iż bierze nawet górę nad zmysłem praktycznym. Postanowili oni po szachrajsku narzucić ludziom to, czego ci nie chcą.

Niebawem w nrze 6 *Kraju* ukazał się dużem pismem komunikat redakcyi, zawiadamiający, że «w Warszawie zawiązał się komitet obywatelski, mający na celu zorganizowanie pomocy lekarskiej dla rannych na polach bitew dalekiego Wschodu». Dodano do tego niesmaczne dopełnienia o «kompleksie różnoplemiennych i różnojęzycznych narodów» państwa, wśród których mamy «koić niedolę» rosyjskiego żołnierza, a a w końcu wezwano do składek, które redakcya zapoczątkowała ofiarą 500 rubli.

P. Piltzowi i jego przyjaciołom zdawało się, że zgwałci

tym sposobem przedstawicieli warszawskiego lojalizmu, którzy z obawy przed rządzem pogodzą się z faktem dokonanym... na szpaltach *Kraju*. Tymczasem skutek był taki, że wielu ludzi, a pomiędzy tymi rozmaici zdeklarowani «ugodowcy», odesłali *Kraj*, dołączając odpowiednie listy dla p. Piltza. Redaktor *Kraju* przekonal się, że jeszcze raz fałszerstwo mu się nie opłaciło.

I oto nr. 7 *Kraju* przynosi nowy komunikat redakcyi, równie wielkiem wydrukowany pismem, z którego dowiadujemy się, że «skutkiem przeinaczenia wyrazów telegramu» z Warszawy (chcielibyśmy widzieć tekst telegramu! *Przyp. Kor.)* do poprzedniej odezwy redakcyjnej «zakradła się pewna niedokładność» (!), bo «komitet nie ukonstytuował się i dopiero się tworzy». Uprasza się przeto, żeby czytelnicy uważali odezwę za pochodzącą wyłącznie od redakcyi *Kraju*, która pieniędzy nie przestanie zbierać, a co do użycia ich porozumie się z komitetem, gdy ten się utworzy.

My wszakże dotychczas nic nie wiemy o tworzeniu się takiego «komitetu obywatelskiego».

P. Piltz sobie powiada, że większi od niego ludzie fałszowali depesze podczas wojny. Ale powinien wiedzieć, że fałszerstwo nie wystarcza do wygranej.

Czy Rosya w tej wojnie będzie pobita — nie wiadomo. Ale to zdaje się pewnem, że polityka naszych moskalofilów petersburskich przekona się w jej okresie, iż należy do niepowrotnej, a co prawda, niezbyt świetnej przeszłości.

Ignotus.

UWAGI.

W chwili obecnej, kiedy ludzie myślący z wytężoną uwagą śledzą zachowanie się naszego społeczeństwa w Królestwie, każdy musi się zgodzić, że jeżeli istnieje niebezpieczeństwo niepożądanych zajść, to tkwi ono przedewszystkiem w prowokacyjnych manifestacyach rosyjskich w Warszawie. Nie można poprostu zrozumieć, skąd to moskiewskie bydło — bo to jest najdelikatniejsze określenie «patryotycznych» manifestantów — czerpie zachętę do tak zuchwałego zachowania się. Jeżeliśmy użyli tego niedystyngowanego określenia, to dlatego, żeby niem objąć i tych panów, którym powierzono zarząd krajem i którzyby mogli ów zapał jednem rozporządzeniem powstrzymać.

Doprawdy, publiczność nasza dała wielki dowód taktu i spokoju, nie reagując na zaczepki.

POLEMIKA.

W SPRAWIE »ETYKI EGOIZMU«.

Odpowiedź na artykuły p. Włodzimierza Spasowicza w Nr 27 i 28 *Czasu*[1]).

Pan Włodzimierz Spasowicz zaszczycił moją rozprawę o »Egoizmie narodowym wobec etyki« obszerną krytyką w *Czasie*. Rysem charakterystycznym tego dziesięcioszpaltowego artykułu jest traktowanie omawianej rozprawy jako »traktaciku politycznego«. W myśl tego założenia autor pomija niemal zupełnie czysto etyczną stronę rzeczy, nie zbija zawartych w niej myśli, bądź co bądź nowych, a więc nadających się do krytyki z punktu widzenia pojęć panujących, ale conajwyżej im przeczy, sam zaś staje na gruncie politycznym i do niego sprowadza całą swoją argumentacyę.

Pomimo wypływającej stąd niewspółmierności krytyki z wykładem, w zasadzie nie można nic temu stanowisku zarzucić, wolno bowiem np. krytykować powieść historyczną z punktu widzenia historyi lub naodwrót historyę z punktu widzenia literackiego, należy jednak stawiać kwestyę wyraźnie; tymczasem p. S. na uzasadnienie charakterystyki mojej rozprawy jako »przygodnego traktaciku politycznego« znajduje jeden tylko argument — rzekomo moje własne przyznanie, zawarte w następujących słowach: »moralność narodu jest niczem innem, tylko jego polityką w stosunku do innych narodów«. Byłemu profesorowi prawa karnego nie może być obcą gałęź nauki, która się wydzieliła stopniowo z prawa publicznego pod nazwą »polityki«. Otóż zakres objętych przez nią zjawisk społecznych jest według mego zdania ten sam, co i zakres etyki w stosunkach grup pomiędzy sobą. Uznanie teoretycznej tej koncepcyi jest obowiązkowe dla każdego, kto nie uważa, że polityka iść może swoim torem, a etyka swoim, i ta jedna teza wystarczą, aby nadać moim wywodom głębsze znaczenie teoretyczne w dziedzinie etyki. P. Spasowicz jednak woli, przez podsunięcie innej treści pod termin »polityki«, przedstawić te wywody jako teoretyczną okrasę czysto politycznych tendencyj. Podkreślam i przechodzę.

Autor oświadcza, że co do etyki indywidualnej jest ze mną w zupełnej zgodzie. Ale jakim kosztem? — kosztem przeinaczenia zasadniczej mojej myśli. Zdaje się on rozumieć dobrze, że nie może być dwóch etyk, jednej dla jednostek, drugiej dla grup społecznych i narodów, to też pisząc się na krytykę »zmysłowego« altruizmu podsuwa mi nieznacznie twierdzenie, jakobym w zakresie etyki indywidualnej brał »za pierwszy punkt wyjścia nie osobisty egoizm, ale poświęcenie się, ofiarność, altruizm«. Do podobnej niekonsekwencyi przyznać się nie mogę, zbyt bowiem wyraźnie brałem za pierwszy punkt wyjścia charakter jednostki, silną jej indywidualność, opartą na egoizmie »samowiednym« i na »samowiednym« altruizmie. Cała zato niekonsekwencya leży po stronie przeciwnej, która godząc się widocznie, skoro sama tak twierdzi, na moje założenie, o kilka wierszy niżej tak mówi: »Wedle naszego przekonania, i z pojedynczej osoby i z każdego ludzkiego

[1]) Krytyki nie polityczne, ale teoretyczne, dotyczące filozoficzno-etycznych poglądów wyrażonych w mojej rozprawie, uwzględnię w trzeciem jej wydaniu.

zbiorowiska, począwszy od rodziny, klasy, stanu, ziemi czy kraju, aż do wszechludzkości, należy rugować egoizm, jako zło, należy obchodzić się z nim jak z nieprzyjacielem«. Z zapowiedzianej zgody nie zostało się nic. Jest to naturalne, ale w takim razie należało poddać surowej krytyce właśnie pierwszą część mojej pracy, traktującą o etyce indywidualnej, zamiast pozornie zgadzać się na nią, gdyż z niej to właśnie wypływają logicznie i nieodwołalnie wszystkie późniejsze wywody.

Istnieje zasadnicze nieporozumienie pomiędzy punktem widzenia moim a mojego krytyka. Wbrew temu co mówi p. S. jakobym układał etykę »wyjątkową, specyficzną, polską, a nie powszechno-ludzką«, starałem się wyświetlić jaka jest jedna, powszechna i bezwzględna etyka wszystkich czasów i wszystkich ludów [1]) (stanowisko jedynie zasługujące na miano naukowego), p. S. mówi zaś o tem, jaka etyka powinna być według jego przekonania, muszę mu więc zwrócić zarzut budowania etyki »racyonalistycznej«. Etyka jest nauką traktującą o duchowej stronie postępowania jednostek i grup społecznych wobec siebie, a więc o uczuciach towarzyszących temu postępowaniu i o normach, które je regulują, stara się więc wyjaśnić i sformułować rzeczywistą treść powszechnie obowiązujących nakazów moralnych, ale bynajmniej nie jest powołana do tworzenia podobnych nakazów. To ostatnie zadanie jest rzeczą umiejętności stosowanej, która w tym wypadku, przynajmniej w stosunku wzajemnym zbiorowości do siebie, zlewa się z polityką stosowaną. Nie ja więc, ale p. S. politykę tę uprawia i naciąga wskazania etyczne do swych politycznych założeń. Zamiast dowieść, a przynajmniej zaznaczyć, że scharakteryzowana przezemnie etyka społeczna nie jest bynajmniej wskazaniem wszędzie praktykowanem i obowiązującem, że przeciwnie wszystkie narody po wszystkie czasy rugowały ze swego postępowania egoizm jako zło, kierowały się natomiast czystym altruizmem, p. S. zadawalnia się wyrażeniem swego »przekonania«, które tyleż posiada wartości co i przekonanie o racyonalności lub nieracyonalności praw przyrody.

Etyka społeczna jest i pozostanie powszechną i bezwzględnie obowiązującą. Ja twierdzę, że i my do niej stosować się musimy, jak stosować się musimy do praw przyrody, jeżeli chcemy istnieć i żyć, p. S. natomiast pozwala innym iść w tym kierunku, ale nam zaleca bezwzględny altruizm społeczny i tępienie wszelkiego egoizmu zbiorowego. W imię czego? w imię ideałów? Jeżeli etyk ideałów jest tylko mniej lub więcej szkodliwym ideologiem, to polityk ideałów nawet na miano polityka nie zasługuje.

Pojęcie narodu jako najwyższej zbiorowości społecznej, rozstrzygającej o wskazaniach etycznych obywateli, wydaje się p. Spasowiczowi zasadniczo błędnem. Ponad narodem stać ma »federacya państw i narodów«, ba nawet jak twierdzi, »ukonsolidowanie się federacyi państw europejskich w rodzaj Stanów Zjednoczonych jest tylko kwestyą czasu«. Słyszymy tę piosnkę oddawna, tylko mąci nam nieco czystość melodyi nasz stosunek »federacyjny« do Rosyi i Niemiec. Piosnka ta, przyznaję to otwarcie, działa mi więcej na nerwy niż na uczucie i daleki jestem od »przypuszczenia, że federacya europejska formuje się w czasie obecnym«, jak mi to autor

[1]) Str. 47 wyd. II.

imputuje. W kwestyi tej wypowiedziałem się wyraźnie: »Gdyby obcowanie wzajemne członków społeczności międzynarodowej doszło do tego stopnia solidarności, wspólności interesów i organizacyi, że narody Europy utworzyłyby jedne Stany Zjednoczone, dbanie o dobro całości zbiorowej, czuwanie nad interesami wspólnymi skonfederowanych byłoby obowiązkiem wszystkich części składowych. Ale i wtedy nawet odbywałoby się w imię samowiednego ich egoizmu, w imię szerzej pojętego interesu własnego. Altruizm wobec całości poczyna się nie na gruncie związku państw sfederowanych dzięki tożsamości ich potrzeb, wspólności wrogów i jedności dążeń, ale dopiero na gruncie państwa związkowego, w którem części składowe służą już bezpośrednio interesom całości. Dziś pierwsza nawet z tych form organizacyi międzynarodowej należy do dziedziny ideologicznych mrzonek, cóż mówić o drugiej!«

Nie można nikomu zabronić wiary w blizkość federacyi europejskiej lub nawet socyalistycznego ustroju, zastrzedz się tylko trzeba z całą siłą przeciwko wyprowadzaniu jakichkolwiek wniosków politycznych, a tem bardziej wskazań narodowych z przesłanek tej natury, tą drogą szerzy się bowiem już nie ideologię polityczną, ale wprost polityczną fantasmagoryę.

Co do strony czysto teoretycznej, to różnicy pomiędzy federacyą państwową a państwem związkowem nie potrzebuję tu chyba rozwijać. Twierdzenie moje, że federacya opiera się na zgodności egoistycznych interesów części składowych, autor nazywa »prawdziwym sofizmatem«, gdyż »sam fakt konfederowania się dowodzi, że skonfederowani przeszli na altruistyczne stanowisko«. Niestety nieco wyżej sam zbija własne twierdzenie, mówi bowiem wyraźnie i najzupełniej słusznie o »federacyi państw i narodów, wiążących się z sobą umowami«. Otóż umowa jest koniecznym ale jedynym prawnym warunkiem federacyi, a że nie zawiera ona w sobie żadnego pierwiastku altruistycznego i opiera się wyłącznie na zasadzie *do ut des*, to już wypływa z samego pojęcia umowy jako aktu interesownego, a potwierdzenie swe znajduje w takich np. faktach, jak walka Sonderbundu w Szwajcaryi lub Stanów północnych z południowymi w Unii Amerykańskiej, w której szło o wystąpienie ze związku niezadowolonych ciał udzielnych.

Pierwiastek altruistyczny, ujawniający się pod postacią egoizmu wyższej zbiorowości, zjawia się dopiero w dobrowolnie wzniesionem państwie związkowem, w którem zgodne interesy części podporządkowują się już interesom całości, ale tylko wtedy pierwiastek ów staje się instancyą najwyższą norm etycznych, kiedy części składowe państwa związkowego stanowią już jeden naród. Widzimy to w Unii Amerykańskiej, w Rzeszy Niemieckiej, w Szwajcaryi, nie widzimy tego w Austryi nawet w stosunku wzajemnym dwóch połów monarchii.

Autor stawia mi zarzut, jakobym nie umiał sobie poradzić z dwoma pojęciami, narodu i państwa, a na dowód powołuje się właśnie na Szwajcaryę, która składa się rzekomo z trzech ras i narodów, z jednego zaś państwa. Stąd wnioskuje, że państwo jest wyższą formacyą niż naród jako instancya norm etycznych i tem tłomaczy fakt oburzenia Szwajcarów, gdy niejaki profesor Vetter z Berna na zjeździe uczonych w Niemczech zaliczył kantony języka niemieckiego do Niemiec, jako do jednej kultu-

ralnej ojczyzny. Autor sądzi widocznie, że oburzenie to podyktowało im poczucie solidarności państwowej, jak gdyby ta ostatnia mogła w czemkolwiek być zadraśnięta zaznaczeniem kulturalno-plemiennej łączności z Niemcami, ja zaś sądzę, że została tu urażona ich solidarność narodowa, a co ważniejsza tak samo sądzą wszyscy Szwajcarowie. Fakt ten dowodzi właśnie wymownie, że są oni narodem w całem tego słowa znaczeniu.

Żaden związek państwowy, a tem mniej li tylko dynastyczny, nie może być źródłem norm etycznych dla narodu i nie wytworzy »wspólnej związkowej ojczyzny«, dopóki części składowe, jak w Szwajcaryi, w jeden naród się nie zleją, lecz i wtedy nie państwo związkowe, ale ten właśnie naród będzie miarodajnym w określaniu obowiązków moralnych. Jeżeli związek państwowy jest dobrowolny, każda ze stron związanych umową obowiązana jest jej dotrzymać, dopóki inni się jej nie sprzeniewierzą, stosunek obowiązkowy jest jednak sam przez się łącznikiem formalnym i może nie doprowadzić do żadnej »jedności ojczyźnianej«. Jeżeli związek państwowy jest przymusowy, wtedy interes narodu jako części składowej jest jedynie miarodajny w określaniu jego stosunku do całości, a interes ten, zgodny w tym punkcie z etyką społeczną, każe mu stosować swe postępowanie do stanowiska jakie zajmie państwo wobec jego uprawnionych dążeń. Wychodząc z takiego założenia, zgadzam się też najzupełniej z p. S. w określeniu naszego stosunku do Austryi: chcemy uchronić ją od rozbicia, pragniemy nawet jej rozrostu w kierunku nowych dziedzin słowiańskich, bo tego nasz interes narodowy wymaga. Ale ten sam interes nie wymaga bynajmniej, abyśmy się koniecznie »sprzymierzali z narodami najbardziej pokrewnemi i prowadzili politykę słowiańską«. Prowadzić powinniśmy politykę jedynie i wyłącznie narodową, a na tej drodze w pewnych warunkach współdziałanie z polityką choćby węgierską może nam nieraz większe zdobycze zapewnić.

W tem miejscu znajdujemy wtrącone zdania, które podnieść muszę z całym naciskiem. Mowa jest o Rusinach, »z którymi, mówi ironicznie p. S., chyba zgody być nie może, skoro p. B. zaleca, abyśmy do tych Rusinów stosowali tę samą politykę, jaką do Polaków stosują Moskale w ziemiach od Polski zabranych«. Rzecz niezmiernie charakterystyczna dla naszych stosunków polemicznych, że we wszystkich niemal ostrzejszych krytykach mojej rozprawy autorowie, o nader różnych skądinąd kwalifikacyach moralnych, dopuścili się wyraźnego sfałszowania cytaty odnośnego ustępu. Nie podejmuję się wytłomaczenia tego faktu: być może, że w zapale polemicznym ludzie rzeczywiście nie rozumieją tego co czytają. Ustęp ten brzmi: »Dopóki nienawiść do Polaków stanowi główną ich narodową racyę stanu, dopóki ucisk rosyjski jest im milszy niż równouprawnienie polskie... dopóty traktować ich musimy jako obcoplemienny żywioł wewnętrzny, mający prawo rozwijać o własnych siłach właściwości swej kultury, ale nie jako naród, z którym stać można na stopie federacyjnego związku«. Tego ustępu, jedynie dotyczącego właściwych Rusinów, żaden z owych krytyków nie przytoczył, wszyscy zaś podstawili na jego miejsce ustęp następny: »Wobec Rusinów, którzy się za Moskali uważają, zajmować możemy stanowisko tylko takie, jakie nam wobec Moskali przystoi, a sprawiedliwość międzynarodowa i zasada wzajemności wymaga, abyśmy w granicach

konstytucyi stosowali do tego gniazda rusyfikatorów Galicyi i Królestwa taką politykę, jaką Moskale stosują do Polaków w ziemiach zabranych«. Oczywiście jest tu mowa nie o Rusinach, ale o Moskalach z narodowości, o t. zw. »perekińczykach« rusińskiego pochodzenia. W granicach konstytucyi, a więc środkami legalnymi, bez gwałtów i nadużyć, mamy prawo i obowiązek odpłacać im polityką takiego samego antagonizmu, jaką oni na służbie rządu rosyjskiego wobec Polaków stosują. P. Spasowicz okroił cytatę i przeniósł ją na naród rusiński — zapewne w imię swej zasady bezwzględnego altruizmu wobec przeciwników politycznych.

Nie jest to zresztą fakt oderwany i wyjątkowy: »myślenie insynuacyami« stanowi dość charakterystyczny rys artykułów p. S. Nazywa naprzykład »krzyczącą sprzecznością«, że zalecając, w myśl etyki społecznej, stosowanie postępowania do natury zachodzącego stosunku stawiam jakoby »na jednej linii i trzy rządy i trzy społeczeństwa, z któremi sprzęgły nas losy, i traktuję je jako jednako nieprzyjacielskie». Zarzutu tego jednak nie poparł żadną cytatą z tej prostej przyczyny, że niczego podobnego w książce mojej by nie znalazł. Mówię wszędzie wyraźnie o Rosyi i Prusach, a p. S. nie wskaże chyba zasadniczej różnicy w ich stosunku do nas: Rosyi nawet przypada w tym względzie zaszczytna rola nauczycieli.

W swem dążeniu do zastąpienia obowiązków moralnych wobec narodu przez obowiązki moralne wobec państwa, p. S. dochodzi do ciekawych rezultatów. Oto jego teorya: Państwo, własne czy cudze, dobre czy złe, pełni pewne niezbędne funkcye i zabezpiecza porządek materyalny. Za te »dobrodziejstwa« należy mu się pewne dobro ze strony obywateli (podatki, prestacye, szanowanie prawa). Gdy pełnienie tych powinności wejdzie w przyzwyczajenie, mamy stosunek legalności, a skoro ta legalność »stała się rysem charakteru i niby druga naturą w człowieku, rozważana ze strony podmiotowej, nazywa się lojalnością albo uczciwością polityczną«. Zaiste trudno o więcej skoków i nieścisłości w tak krótkim ustępie. 1) Zabezpieczenie porządku materyalnego nie jest żadnem dobrodziejstwem ze strony państwa, ale jego obowiązkiem; 2) za porządne wypełnianie tego obowiązku należą mu się niewątpliwie odpowiednie powinności, ale za wynaradawianie, za tępienie kultury, za prześladowanie wiary i języka, za wyzysk i upośledzenie należy mu się również ekwiwalent odpowiedni do sił i środków narodu, to też pierwszy dział jego czynności wywołuje stosunek legalności, drugi — stosunek antagonizmu i walki; 3) najbardziej nawet utrwalona legalność nie da nam podmiotowo uczuć lojalności, bo lojalnym można być tylko wobec państwa, które się uznało za rządzące z prawa, za swoje; 4) utożsamianie lojalności z uczciwością polityczną należy do gatunku pojęć etycznych, przeciwko którym wystąpić musi nietylko poczucie moralne specyficznie polskie, ale i powszechno-ludzkie, gdyż w takim razie nietylko wszelka nielegalność, ale nawet legalność bez lojalności byłaby nieuczciwością polityczną. Podobna zasada nie zaufanie, jak twierdzi p. S., ale conajmniej niesmak moralny wzbudzić musi nawet śród obcego środowiska.

Lojalność swą wobec państwa p. S. posuwa stanowczo znacznie dalej niż swą lojalność wobec własnego narodu. Posłuchajmy tylko: »Narodowości jest bardzo dużo, a państw stosunkowo niewiele, nie wszystkie narodowości mają mocne poczucie swej odrębności (czy możemy je nazwać narodowo-

ściami?) jeszcze mniej takich, które pragną i dążą do politycznego samobytu«. Szkoda że autor nie wymienił tych narodowości, które będąc niemi w całej pełni jednak do niezależności nie dążą; znalazłby tylko takie, które wskutek swej słabości liczebnej nie mogłyby w danych warunkach i w danem otoczeniu istnieć samodzielnie, zresztą wymieniłby chyba plemiona językowe bez przeszłości i przyszłości politycznej. Z tych żywiołów, czytamy dalej, »państwo wykuwa albo spławia w ciągu wieków jeden wielki naród, mający wspólny język i wspólne dziejowe tradycye. Do tej masy przyłączają się pochłaniane przez nią odłamy, dobrowolnie się garnące albo zdobyte«. Niektóre z nich podnoszą się conajwyżej do pożądania tylko autonomii prowincyonanalnej, inne, które »nie mogą, nie powinny nawet zapominać o swej świetnej przeszłości«, mają prawo dobijania się coraz lepszych warunków bytu, ale »muszą wszystko na nowo zakładać i budować od fundamentów aż do stropu, bo o wskrzeszeniu tego, co było kiedyś, a potem zawaliło się i stliło, nie może być mowy«. Otóż autor zarzuca mi, jakoby mnie bynajmniej nie interesowało nawet pytanie, »czy naród polski będzie mógł stworzyć państwo do życia uzdolnione«.

Oczywiście z całego poprzedniego biegu myśli wypływa, że naród polski takiego państwa nie byłby w stanie utworzyć. Mogły tego dokonać Grecya, Rumunia, Bulgarya, Serbia, mogą istnieć Szwajcarya, Holandya, Belgia, ale nie może istnieć Polska, która jako naród przewyższa znacznie cztery pierwsze — kulturą, wszystkie — siłą liczebną, a wiele z nich — poczuciem swej tradycyi dziejowej i swej odrębności. Niepodległość zdobyły Włochy, ale »jakimże nadmiernym kosztem i wysiłkiem!« — Sądziłbym przeciwnie, że Włochom udało się ją osiągnąć stosunkowo bardzo niewielkim kosztem, który iść nawet nie może w porównanie z tem, co myśmy już dotąd na ten cel wyłożyli zasobów i energii.

Nietylko ja, o to mniejsza, ale cały kierunek polityczny do którego należę, nad żadną kwestyą nie zastanawiał się tak głęboko jak nad tą, »czy naród polski będzie mógł stworzyć państwo do życia uzdolnione«, i mocne o tem przeświadczenie stanowi naszą narodową wiarę, trzeba tylko usilnej pracy pokoleń na wszystkich polach, ale trzeba także pozbycia się raz na zawsze tych założeń polityki narodowej, które w państwie nietylko obcem ale bezwzględnie wrogiem szukają punktu oparcia w dziele narodowego odrodzenia. Idąc drogami p. Spasowicza nietylko staniemy się niezdolni do samodzielnego życia państwowego, ale zejdziemy do roli materyału plemiennego, z którego państwo »wykuwa w ciągu wieków jeden wielki naród«, taki tylko bowiem los czekać może tych, którzy się szczycą swą zniewieściałością, lubują w swej uległości, a w ręce obcego państwa składają dobrowolnie swą przyszłość państwową.

Całą dalszą krytykę p. S. ująć można w jeden wspólny tytuł — »myślenie insynuacyami«. Autor imputuje mi, jakobym »bez ogródek głosił program polityki powstańczej«, co więcej, jakoby chodziło mi tylko o to, »aby od czasu do czasu bywały tam lub ówdzie jakiekolwiek porywania się do powstania«. Oto co napisałem w tym względzie: »Można się spierać co do wczesności, niedostatecznego przygotowania i wyboru chwili naszych powstań, ale zapoznawać nie można ich wielkości m o r a l n e j, właśnie z punktu widzenia samowiednego egoizmu narodowego. Jeżeli ktokolwiek, po do-

konanym przeciw sobie zamachu, nie występuje z całą siłą, jeżeli przestaje dobrowolnie stać na straży swego prawa... prawo jego traci swą wartość. Prawo do niepodległości narodowej przestaje istnieć dla tego, kto bez walki pozwala najazdowi uwiecznić się i przedawnić. Powstania zaś były jedyną formą walki bezwzględnej, na którą pozwalało położenie ówczesne« (str. 62 wyd. II). — I tyle. Mowa o moralnem znaczeniu powstań w przeszłości, o chwili zaś obecnej, o programie na przyszłość — ani słowa. Ale co najciekawsze, że p. S. od siebie, w formie najzupełniej pozytywnej, pisze nieco niżej co następuje: »Pokrzywdzonemu wypada upomnieć się o krzywdę, żeby ją stwierdzić. Pokrzywdzony, który milczkiem trawi żal w sobie, chociażby myśląc o zemście, naraża się na to, że doń zastosują prawidło: *qui tacet consentire videtur*«. Pozostawiam bezstronnemu czytelnikowi do oceny, czy pomiędzy temi dwoma cytatami zachodzi jakakolwiek zasadnicza sprzeczność. Ja przynajmniej nic ponadto nie pragnąłem wyrazić, powiedziałem tylko (na co się p. S. oczywiście nie zgodzi), że powstania były jedyną formą upomnienia się o krzywdę, na którą pozwalało położenie ówczesne. Dla zwalczenia przeciwnika trzeba było myśl jego przeinaczyć, strywializować i rozdmuchać do karykaturalnych rozmiarów.

Oprócz p. S. robili to i inni. Gdyby myśl moja była niejasną, to mogli znaleźć do niej komentarz w wydawnictwach programowych kierunku, na odpowiedzialność którego bez zastrzeżeń składają przecież moją pracę. Jeszcze w r. 1893, w Nr V seryi broszur: »Z doby dzisiejszej« [1]) czytamy: »W dziejach nic się nie powtarza; słuszna ocena i nawet uczuciowa rehabilitacya faktu historycznego nie oznacza wcale, ażeby fakt ten w innym czasie w zmienionych warunkach mógł być wzorem do naśladowania... Polityka czynna nie oznacza wcale wystąpienia zbrojnego, ani przygotowań do tego rodzaju ruchu. W zamiarach naszych nic podobnego nie leży. Nie dążymy do powstania ani pośrednio, ani bezpośrednio i politykę powstańczą, gdyby się takowa ujawniła, uważalibyśmy za zgubną i przeciwdziałalibyśmy jej energicznie«. Odtąd równie wyraźne oświadczenia podobne powtarzały się w każdem wydawnictwie programowem. Co sądzić o »mężach stanu«, którzy tak czytać umieją, czy też tak oddawać cudze myśli?

Tak samo wygląda drugi zarzut, który brzmi już nieco humorystycznie, zarzut »podburzania do politycznego bezrobocia«. »P. Balicki nietylko zaprzecza, aby można było, poza obrębem tajnej, nielegalnej, z natury rzeczy nikłej roboty, pracować obecnie nad polepszeniem bytu, nad pracowitem, powolnem tworzeniem warunków, któreby mogły doprowadzić do lepszych dla narodu losów, ale nawoluje do tego, aby wspólnemi siłami przeszkadzano tej pożytecznej robocie ludzi szczerych i patryotycznie usposobionych, tylko inaczej niż p. B. ten patryotyzm pojmujących«. Każdy kto czytał moją książkę wie, że w tem wszystkiem niema ani słowa prawdy. Będąc gorącym zwolennikiem pracy legalnej, gdzie ona tylko jest możliwą, i wyznawcą programu walki o prawo, nie mogłem czegoś podobnego nietylko napisać, ale nawet pomyśleć. Jeżeli zarzuty powyższe dotyczyć mają

---

[1]) V. »W trzydziestą rocznicę powstania styczniowego. Kilka słów o polityce narodowej«.

całego politycznego kierunku, to ostatni »Program stronnictwa dem.-nar. w zaborze rosyjskim«, znany niewątpliwie p. S., daje dostateczną na nie odpowiedź, a zarazem pozwala autorowi przejrzeć się w zwierciadle własnych insynuacyj.

Do tejże kategoryi należy twierdzenie, jakoby »egoizm wszechniemiecki« był »wcieleniem mego ideału«, podczas gdy poświęciłem specyalnie trzy stronice (76—79 wyd. II) dla wykazania, jak przeciwny on jest zasadom etyki społecznej, której bronię. W innem znów miejscy p. S. twierdzi, że teorya narodowego egoizmu wymaga, aby »Koło polskie w Berlinie po ostatnich wypadkach opuściło protestując parlament«; widocznie w jego mniemaniu pojęcie o walce politycznej sprowadza się do ucieczki z placu boju. Pomniejsze nadużycia interpretacyi i insynuacye pomijam.

P. Spasowicz rzuca pytanie: »czy są pomiędzy ludźmi, nie podzielającymi przekonań p. B. ale uważającymi się za szczerych patryotów, tacy, którzyby zasługiwali na miano »ugodowców«, tak jak ich pojmuje i określa p. Balicki?« Scharakteryzowałem w mojej pracy tych, co »wyciągają rękę do zgody wobec nieprzyjaciela, paktują zamiast walczyć, celem zyskania znośnych warunków rozejmu«, nie użyłem zaś nawet nazwy »ugodowców«, ci bowiem idą znacznie dalej: składają wieńce na trumnie Aleksandra III, urządzają owacyjne przyjęcie w Warszawie Mikołajowi II, podnoszą »wspaniałomyślność samodzierżawja«, nawołują do adresów wiernopoddańczych, propagują zbliżenie się do Rosyan i współdziałanie z nimi na naszym gruncie, no — i mówią o »dobrodziejstwach państwa, z którem losy nas związały«. Może to nie są »szczerzy patryoci?« — w takim razie zgadzam się z p. S. że pomiedzy tymi ostatnimi niema dla »ugodowców« miejsca.

Czytelnik wybaczy mi tę zbyt długą rozprawę z jedną tylko z pośród tak wielu krytyk kierunku, którego książka moja ma być »jedną z najbardziej charakterystycznych ilustracyj«. Niech ta próbka, która wyszła z pod pióra jednego z najpoważniejszych i najwybitniejszych przedstawicieli obozu, da pojęcie o tem, na jakim poziomie stoją pamflety takiego np. Scriptora i ile miejsca wymagałoby ich prostowanie. Jeżeli według *Czasu* artykuł p. S. »sięga tak głęboko i zawiera tyle nauki, że przenosi nas w najpiękniejsze czasy naszej literatury politycznej«, to pod »naszą« nie trzeba tu rozumieć literatury politycznej polskiej, ale chyba literaturę obozu, do którego się *Czas* razem z p. Spasowiczem i Scriptorem zalicza.

Zygmunt Balicki.

KRONIKA.

☐ W pierwszych dniach lutego aresztowano w Warszawie wielu socyalistów. Główny kontyngent aresztowanych stanowią robotnicy żydowscy, wzięci na jakiemś licznem zgromadzeniu, w liczbie przeszło 60 osób. Prócz tych aresztowano wielu uczniów z gimnazyum na Pradze i ze szkoły realnej Górskiego. Poprzednio robiono u aresztowanych rewizye. Wielu rewidowanych puszczano wolno, gdyż nic nie znaleziono. Wzięto też kilka starszych osób z inteligencyi, między innemi parę pań. Niektóre osoby aresztowano na ulicy.

☐ W Warszawie pojawiły się kartki, z podpisami «Dyrektoryat» i «Komitet», wzywające robotników i rzemieślników, żeby w razie powołania rezerwistów nie szli do wojska, ale uciekali za kordon.

Z wiarogodnego źródła donoszą, że z Włocławka rezerwiści tamtejsi w obawie mobilizacyi uciekają już teraz gromadnie do Prus.

☐ 13-go b. m. studenci Moskale z uniwersytetu i politechniki, w liczbie 40, urządzili małą manifestacyę wiernopoddańczą. Szli oni gromadą Krakowskiem Przedmieściem, hr. Berga, Włodzimierską przed konsulat francuski i z powrotem, śpiewając «Boże caria chrani» i zrzucając spotykanym po drodze stróżom i dorożkarzom czapki z okrzykiem: *„szapki dołoj"*.

☐ W dniach 22-go i 23-go stycznia odbywała się w Lublinie rozprawa sądowa przeciw 24 mieszkańcom Urzędowa, oskarżonym o «opór władzy», jakiego się dopuścili na zebraniu gminnem dnia 2-go sierpnia r. z. przeciwko naczelnikowi policyi Makarowowi.

W istocie oskarżeni wówczas bronili tylko swych praw, natomiast wina wystąpień nielegalnych była po stronie policyi, a zwłaszcza Makarowa, który pod wpływem strachu wydobył pod koniec zebrania rewolwer i kazał strażnikom obnażyć szable, jakoby w celu poskromienia włościan.

Oczywiście Makarow i strażnicy zeznawali na niekorzyść włościan, lecz wszyscy inni świadkowie stwierdzali, że zachowanie się włościan nie było ani tak groźnem ani wyzywającem. Sąd w części uznał widocznie motywy obrony za słuszne, gdyż kara, na jaką skazano oskarżonych, (Grabowskiego na 7 dni aresztu, 19 na dwa tygodnie, 4 uwolniono) jest stosunkowo łagodna. Urzędowianie, choć przypłacili swoją walkę o prawo kozą, pośrednio dopięli swego, gdyż pozbyli się wójta i pisarza gminnego, którzy zbyt gorliwie wysługiwali się rządowi.

Dnia 20-go stycznia przed sądem okręgowym w Lublinie toczyła się rozprawa o opór władzy, przeciwko 23 włościanom, mieszkańcom wsi Karczmisko w powiecie puławskim. Chodziło o to, że chłopi opierali się ściąganiu podatków na szkołę rządową.

△ W styczniu r. 1902 moskiewskie Towarzystwo dobroczynności, prowadzące moskalofilską agitacyę w ziemiach słowiańskich, przysłało na ręce eksc. Jaworskiego 200 rubli na dzieci wrzesińskie. Młodzież polska we Lwowie postanowiła zebrać taką samą kwotę i odesłać Towarzystwu, co też Czytelnia akademicka uskuteczniła w grudniu tegoż roku, przeznaczając pieniądze na rzecz rodzin prześladowanych przez rząd sekciarzy duchoborców. W grudniu r. 1903 Czytelnia akademicka otrzymała z powrotem tę sumę, w dołączonym liście panowie Spasokucki i Brandt oświadczyli w imieniu Towarzystwa, że pieniędzy przyjąć nie mogą, bo pomaganie poddanym rosyjskim nie wchodzi w zakres zadań Towarzystwa i zresztą miejsce pobytu rodzin duchoborców nie jest znanem. Wobec tego Czytelnia akademicka, nie zmieniając przeznaczenia owych 200 rubli, wysłała je do redakcyi *Oswobożdienija* w Stutgardzie. W ostatnim numerze tego pisma znajdujemy opis całej sprawy z następującym dodatkiem od redakcyi: «Pp. Akademicy bardzo trafnie wykazali działaczom moskiewskiego Towarzystwa dobroczynnego całą obłudę, zawartą w tak demonstracyjnie ujawnionej przez nich sympatyi do Polaków pruskich».

= Kardynał Kopp wytoczył proces kościelny ks. Mikulskiemu, który, jak wiadomo, dał ślub posłowi Korfantemu w kościele św. Krzyża w Krakowie, na tej podstawie, jakoby udzielenie sakramentu małżeństwa przez tego kapłana było nieważnem. Oskarżyciel w purpurze żąda podobno od Stolicy Apostolskiej nie tylko pociągnięcia ks. Mikulskiego do odpowiedzialności, lecz również unieważnienia małżeństwa posła Korfantego.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Nowicki.**

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.